

LOSY INNYCH BOHATERÓW
TRYLOGII KLEJNOT

AMY EWING



DOM
KAMIENIA

GARNET

AMY EWING



DOM
KAMIENIA

GARNET

Przełożyła
Iwona Wasilewska



DOM
KAMIENIA

Rozdział 1

Jestem Raven Stirling. I nie będę niczyją własnością.

– Numer 191! – woła Gwardzista. – Numer 191!

Elegancko ubrana dziewczyna, która po mnie przyszła do poczekalni, rusza chwiejnie w stronę drzwi. Trudno ją winić za niezgrabny krok, bo wygląda, jakby jej fryzurę wieńczył wielki żyrandol. Violet tak mocno ściska mnie za ręce, że jej paznokcie wbijają mi się w ciało.

Jestem następna, ale nie pozwolę Violet dostrzec, jak mnie to przeraża. Boi się wystarczająco za nas dwie.

Drzwi znów się otwierają.

– Nigdy cię nie zapomnę – mówię półgłosem. Fioletowe oczy Violet zdają się niemal czarne. Nie wiem, czy to kwestia oświetlenia, czy tę ciemną barwę nadało im przerażenie. – Pamiętaj o tym, Violet. Nigdy cię nie zapomnę – powtarzam.

– Numer 192. Numer 192.

Odwracam się, unoszę głowę i ruszam przez pokój, zanim przyjaciółka zdąży cokolwiek powiedzieć. Nie chcę, by traciła czas na martwienie się o mnie. I nie chcę myśleć o tym, że możemy się już więcej nie zobaczyć.

Nawet nie patrzę na Gwardzistę, który przyszedł, by wyprowadzić mnie z tej parszywej poczekalni. Mijam go w milczeniu, gotowa, by wparować na scenę, gdy jednak drzwi zamykają się za mną, tonę w ciemności.

Panika ściska mnie za gardło, przetykam jednak ślinę, niczego nie dając po sobie poznać. Do moich uszu dobiega cichutkie buczenie, a potem po obydwu stronach podłogi zapalają się rzędy lampek. Zielone światło skierowane jest w górę i nie rozprasza mroku, nie widzę więc końca korytarza. Gwardzista jest tylko czarnym cieniem przede mną.

– Dokąd idziemy? – pytam, nie żywiąc nadziei na odpowiedź. Zadałam mu to samo pytanie, gdy zabierał mnie z gotowalni. Może to część ich treningu. Uczą się ignorować surogatki.

Mężczyzna rusza, a ja nie mam innego wyjścia, jak podążyć za

nim. Z uniesioną wysoko brodą i prostymi plecami mruczę pod nosem to, co powtarzam sobie od dwóch dni, od chwili, kiedy dostałam swój aukcyjny numer.

– Jestem Raven Stirling. I nie będę niczyją własnością.

Gwardzista zatrzymuje się tak gwałtownie, że niemal na niego wpadam. W jego postawie wyczuwam napięcie. Wygląda, jakby na coś czekał. Przed nami jest tylko ciemność.

– Co jest? – rzucam agresywnie, bo łatwiej mi być wściekłą niż przerażoną.

Przez całych dwanaście sekund mężczyzna milczy. Potem obraca się ku mnie.

– Dziękujemy ci, numerze 192, za twoją służbę na rzecz arystokracji. Twoje miejsce zostało wyznaczone. Dalej musisz iść sama. – Kłania mi się, jakby za to, że za chwilę zostanę sprzedana jakiejś kompletnie obcej osobie, należał mi się medal, a potem staje za mną. Pewnie po to, żebym nie mogła zwać.

Pokryte idiotycznymi symbolami arystokratycznych rodów, znajdujące się tuż przede mną drzwi zaczynają jarzyć się mdłą poświatą. Dłonie mi się trzęsą, ale nie okażę słabości. Za nic.

Biorę głęboki wdech i popycham drzwi, które jakby czekały tylko na mój dotyk, bo natychmiast otwierają się szeroko. Oślepia mnie ostre światło. Mrugam, by odzyskać wzrok.

– Jako następny, drogie panie, wystąpi numer 192. Numer 192 proszony jest o zajęcie swojego miejsca.

Prędko ogarniam wzrokiem scenę i mam wrażenie, jakby widok układał się przede mną na podobieństwo puzzli. Licytator, blady facet w smokingu, stoi po mojej lewej. Przed sobą mam rzędy sięgających wysoko w górę miejsc siedzących, wypełnione odzianymi w absurdalnie drogie kiecki kobietami sączącymi równie kosztowne drinki. Na środku sceny srebrzy się wielkie X.

Gość w smokingu otwiera usta, zapewne, by poinstruować mnie, że właśnie na tym iksie mam stanąć, ale ja ruszam z miejsca, miażdżąc go spojrzeniem. Nie jestem idiotką. I numerem też nie jestem. Jestem Raven Stirling.

Kiedy stoję tak, w wyznaczonym miejscu, w kretyńskiej kiece, w

kretyńskim makijażu i z kretyńską fryzurą, patrzę zebranych tu kobietom w oczy. Staram się żadnej nie pominąć. Nie mam zamiaru czuć się gorsza od nich.

Wśród dam jest jedna tak opasła, że przelotnie zastanawiam się, jakim cudem wcisnęła się w swoją czarną, satynową kreację. Gdy napotyka moje spojrzenie, uśmiecha się nieznacznie.

Ten grymas sprawia, że po kręgosłupie przebiega mi lodowaty dreszcz.

No dobra, myślę. Byle tylko nie ona.

– Numer 192 – oznajmia licytator i spostrzegam, że zapala i stawia na swoim pulpicie cienką świecę z białego wosku. Płomień jest jasnoniebieski. – Siedemnaście lat, pięć stóp i jedenaście cali wzrostu, waga sto trzydzieści jeden funtów. Pięć lat szkolenia z wynikami 9,5 w pierwszej Augurii, 9,8 w drugiej i 9,6 w trzeciej. Talent matematyczny i świetne wyniki we wszystkich testach przeprowadzonych w czasie jej pobytu w Magazynie. Cena wywoławcza to sto tysięcy diamentów. Czy słyszę dwieście tysięcy?

Gdybym coś w tej chwili piła, to na pewno bym się opluła. Dwieście tysięcy? Przecież za taką kwotę można byłoby kupić całą Bramę Południową! Ci ludzie są naprawdę rąbnięci! I chorzy. Nie wiedzą, że w Bagnie dzieciaki umierają z głodu? Przypominam sobie wczorajszą wizytę w domu, wyglądającego niczym cień ojca oraz obydwie siostry gnieźdzące się wraz z mężami i dziećmi pod jednym dachem. Przypominam sobie mojego brata, Crowsa, chudego jak grabie upiora o twarzy poznaczonej brudem z Dymu, tym syfem, którego nie idzie już usunąć. I przypominam sobie moją matkę, traktującą mnie, jakbym była Wybranką. Jej zachowanie sprawiło, że Dzień Obrachunku okazał się jeszcze bardziej koszmarny, niż przypuszczałam.

– Pani Sośniny daje dwieście tysięcy! – Głos Licytatora wrywa mnie z zamyślenia. Widzę, jak siedząca w trzecim rzędzie kobieta w średnim wieku unosi miedziany liść paproci. – Czy ktoś daje pięćdziesiąt tysięcy?

Żołądek mi się przewraca, kiedy otyła kobieta o okrutnym uśmiechu unosi pałeczkę zakończoną srebrzystym sześcianem.

– Hrabina Kamienia daje dwieście pięćdziesiąt. Czy ktoś daje

trzysta?

Licytacja trwa. Przestaję zwracać uwagę na kwoty, koncentruję się tylko na kobietach, które biorą udział w tym przedstawieniu.

Otyła matrona, Hrabina Kamienia, nie ma zamiaru odpuścić. Skóra mi cierpnie, gdy widzę, z jaką pewnością siebie raz po raz unosi od niechcenia swoją zakończoną srebrem pałeczkę.

Pozwalam sobie odpłynąć. Zebrane na sali arystokratki zamieniają się przed moimi oczyma w wir kolorów, a ja wyobrażam sobie, że jestem zupełnie gdzie indziej. Myślę o Violet. Założę się, że gdyby pozwolono jej zabrać ze sobą wiolonczelę, byłoby jej na tej scenie znacznie różniej. Pamiętam, kiedy pierwszy raz ją zobaczyłam. Była taka drobna. Mała dziewczynka z burzą czarnych włosów i wielkimi, fiołkowymi oczyma. Amber Lockring nazwała ją dziwadłem, więc wykręciłam jej rękę i nie puszczałam, póki wszystkiego nie odszczekała. Nie kojarzę, czy w ogóle kiedyś mówiłam o tym Violet. Na początku wszystko ją przerażało, co było zupełnie normalne, bo każda nowoprzybyła dziewczyna się lękała. Nie chciałam, żeby poczuła się jeszcze bardziej wyobcowana. Każda z nas musiała przez to przejść. Brama Południowa była zupełnie inna niż reszta Bagna, zdawała się odrębnym wszechświatem. Kiedy więc ujrzałam Violet, poczułam, że chcę ją chronić. Wiedziałam, że się zaprzyjaźnimy.

Ale przed tym jej nie obronię. Ani jej, ani nawet samej siebie.

– Sprzedana – krzyczy Licytator. Wzdrygam się i wracam do rzeczywistości. – Sprzedana za trzy miliony, pięćset tysięcy diamentów Hrabinie Kamienia.

Nie. Aż trudno mi w to uwierzyć. W sali jest tyle arystokratek, dlaczego to akurat ona musiała mnie kupić?

Ostatnią rzeczą, którą widzę, gdy fragment sceny, na którym stoję, zaczyna opadać, jest sadystyczny błysk w oczach Hrabiny.

– Jestem Raven Stirling – mówię, ale równie dobrze mogłabym milczeć. Nikt mnie nie słyszy. Nikogo nie obchodzę.

Platforma zjeżdża poniżej sceny. Kiedy unoszę głowę, widzę plamę światła tam, gdzie było moje X. Po chwili otwór przysłania kolejna platforma i pogrążam się w kompletnych ciemnościach. Docierają do mnie jeszcze słowa licytatora:

– Miłe panie, kolejny numer to 193. Numerze 193, zajmij swoje miejsce.

Ciekawe która to z dziewczyn. Może ta blondynka z włosami przypominającymi stóg siana, w który walnął piorun?

Platforma nieruchomości. Jestem w pustej, okrągłej jak scena na górze komnacie o betonowych ścianach. Otaczają mnie zamknięte drzwi wiodące licho wie, dokąd. Tak mocno zaciskam zęby, że aż zaczyna mnie boleć głowa.

Nagle staje przede mną kobieta w szarej sukience.

– Numer 192? – Patrzy to na mnie, to na trzymaną w dłoni podkładkę z papierami.

Kiwam głową.

– Czyli Hrabina Kamienia – konstatuje nieznajoma. – Tędy.

Za drzwiami, do których mnie prowadzi, znajduje się korytarz oświetlony migoczącymi pochodniami. Po chwili wchodzimy do niewielkiego, kopulastego pokoju ze ścianami z sześciokątnych kamieni. Nie tu żadnych mebli prócz prostego stołu i krzesła. W kominku po lewej płonie ogień, jednak moją uwagę przyciąga coś leżącego na stole, coś, czego nie jestem w stanie opisać, bo okryte jest czarną tkaniną.

– Usiądź – komenderuje kobieta.

– Postoję. – Głos mi drży i nienawidzę się za to. Odpycham od siebie myśli o tym, gdzie jestem i co mnie czeka. To tylko pokój. Ze stołem i paleniskiem. Nie mam się czego obawiać.

Kobieta marszczy brwi.

– Dobrze – oznajmia, unosząc okrywający blat materiał. Widzę błękitną fiolkę i strzykawkę. – Arystokracja nie życzy sobie, żeby jakakolwiek surogatka była świadoma tego, jak odbywa się transport do Domu Aukcyjnego i z niego. Obiecuję, że to nie będzie bolało.

– Jasne – prychem sardonicznie, nie spuszczać wzroku ze strzykawki. Wiem, że nie mam kontroli nad sytuacją, ale mogę udawać.

Nieznajoma nie wydaje się ani zaskoczona, ani przejęta moim zachowaniem. Patrzy na mnie tak, jakby miała do czynienia z dzieckiem, które nie chce grzecznie się zachowywać. Jeszcze mocniej

zaciskam zęby. Ała. Moja głowa.

Upewniwszy się, że nie mam zamiaru dodawać nic więcej, kobieta kontynuuje.

– Możemy to zrobić w sposób szybki, łatwy i niezbyt nieprzyjemny, albo możemy iść na udry. Wiem, że, jadąc tutaj, nie miałaś wyboru. Ten szybki i łatwy sposób polega na tym, że dostaniesz zastrzyk i zaśniesz. Ten drugi... No cóż. Nacisnę przycisk, zjawi się czterech Gwardzistów, którzy cię przytrzymają, i dopiero wtedy cię uśpię. Rozumiesz?

Tak. Rozumiem.

Zostałam sprzedana.

Sprzedana! Nie mogę dłużej udawać, że tak nie jest. Stałam się czyjąś własnością. Mogę sobie wsadzić gdzieś moje mantry i wypchać się fałszywą odwagą. Jestem tylko jedną z dwustu dziewczyn, które się tu dzisiaj znalazły. Nie mam żadnej kontroli nad tym, co się ze mną stanie, nad tym, co ktoś będzie wyczyniał z moim ciałem. I jestem przerażona. Straszliwie przerażona. A nie chcę być przerażona. Chcę być wściekła.

Niech ta baba udławi się swoją szybką i łatwą metodą.

– Wybieram tę drugą opcję – oznajmiam hardo.

A potem biorę zamach i strzelam kobietę w twarz.

Cudowne uczucie! Fantastycznie jest grzmotnąć ją w szczękę i niech лихо weźmie ból, który przeszywa kostki mojej dłoni. Nieznajoma potyka się i wpada na stół, a potem rusza w moją stronę. Przez moment myślę, że chce mi przyłożyć, ale ona odpycha mnie i naciska coś znajdującego się obok drzwi.

Nie mam pojęcia, gdzie ukrywali się Gwardziści, bo w komnacie nie widać ani śladu drzwi, ale nagle wpadają do środka, zupełnie jakby przez cały czas czekali na zewnątrz. Rozpoznaję mężczyznę, który wcześniej mi asystował.

Jeden z Gwardzistów chwyta mnie za kark. Kopię wściekle i moja stopa uderza w jego kolano. Równie dobrze mogłabym się bić z kamiennym posągami. Mężczyźni błyskawicznie powalają mnie na podłogę i przyciskają do niej moje ręce i nogi. Policzkami szoruję o zimną, betonową posadzkę.

– Złóżcie ze mnie! – wrzeszczę.

– Trzymajcie ją – rozkazuje kobieta, a w jej głosie nie ma żadnych emocji. Przelotnie zaciekawia mnie, czy często obrywa w twarz, a potem czuję ukłucie igły. Zapada ciemność.

Rozdział 2

Budzi się. Idź.

Słyszę skrzypnięcie otwieranych drzwi. Spowodowane narkotykiem otępienie powoli mija, wciąż jednak mam wrażenie, jakby ktoś posmarował mi powieki klejem. Usiłuję wyczuć, gdzie jestem. Nie mam już na sobie tego okropnego kimona, bo na ramionach i nogach czuję lekki powiew powietrza. W cokolwiek mnie ubrano, jest to lekkie i przewiewne. Leżę na twardej podłodze. Czuję woń stęchlizny. No cóż, myślałam, że Klejnot pachnie ładniej.

– Wiem, że się obudziłaś, więc daruj sobie udawanie.

Głos jest dziwny. Za wysoki na męski i za niski na damski. Otwieram oczy.

Najpierw dostrzegam kraty. Cienkie, złociste pręty otaczają mnie z każdej strony i splatają się nad moją głową. Siadam.

Jestem w klatce. W wielkiej, przystosowanej do rozmiarów człowieka, klatce dla ptaków.

Prawdopodobnie mogłabym się w niej wyciągnąć, ale wstać nie dam rady, jest zbyt niska. Złote pręty ozdobione zostały delikatnymi, zawiłymi wzorami i tu i ówdzie inkrustowane kamieniami. Umieszczone z jednej strony klatki drzwi zamknięte są na złocistą kłódkę. Po drugiej stronie stoi miska z wodą.

Miska. Jakbym była psem.

– Witaj w Pałacu Kamienia.

Obracam gwałtownie głowę i widzę właściciela dziwnego głosu. Siedzi na stojącym nieopodal klatki krześle i ma na sobie długą, białą suknię z wysokim kołnierzem. Boki jego głowy są łyse, a na jej czubku znajduje się schludny, ciemnoblonde koczek. Twarz męczyzny sprawia nieprzyjemne wrażenie – ma krogulczy nochał, małe, ciemne oczka i usta o opadających kącikach.

To dwórka. Ciekawe, czy to właśnie on przygotowywał Violet.

Przez kilka długich minut obserwujemy się nawzajem, aż wreszcie ciszę przerywa mój żołądek, który głośno dopomina się swoich praw. Czuję, jak na moją szyję występuje rumieniec.

– Głodna? – pyta mężczyzna.

Nie odpowiadam.

– Czemu nie poczęstujesz się wodą? – rzuca dwórka, wskazując brodą stojącą w klatce miskę.

Odwracam wzrok. Usta mam spękane i zaschło mi w gardle, ale nie dam mu tej satysfakcji. Nie będę piła jak zwierzę. Niestety, kiedy nie patrzę na dwórkę, spoglądam na wystrój komnaty. Nie wiem, co jest gorsze.

Nie ma tu mebli, nie licząc krzesła, na którym rozsiadł się mężczyzna. W ścianie naprzeciwko mnie znajduje się umieszczone wysoko, okrągłe okno. Chronią je dwa żelazne pręty zupełnie niepodobne do tych, z których zrobiono klatkę. Wpadające przez nie światło ma pomarańczowe zabarwienie, z czego wnoszę, że zbliża się wieczór. Dostrzegam coś majaczącego za dolną krawędzią szyby... Czyżby trawa?

Jestem w podziemiu?

To niepokojące. A jednak wizja tego, że wylądowałam w piwnicy u jakiejś porabanej arystokratki jest niczym w porównaniu z uczuciem, które przeszywa mnie, gdy mój wzrok ląduje na ścianie po mojej lewej.

Mur wykonano z takiego samego szarego kamienia jak podłogę. Wszystko w tym lochu jest ciemne. Wszystko, poza klatką, w której siedzę, i wiszącymi na ścianie narzędziami.

Widzę powieszony obok siebie od największego do najmniejszego błyszczące pręty. Najdłuższy zakończony jest metalowym okręgiem zdobionym tak samo jak moja klatka. W najkrótszy wprawione jest ostrze. Dalej, doczepione do srebrnych, bogato zdobionych kajdan w trzech rozmiarach, wiszą łańcuchy. Jeszcze dalej dostrzegam wykonane z czegoś białego i jedwabistego liny. Na samym końcu znajduje się coś w rodzaju hełmu ze złota i miedzi, wysadzanego klejnotami. Z jakiegoś powodu ten hełm wydaje mi się najgorszy.

– Podoba ci się moja kolekcja? – pyta dwórka. Staram się zachować obojętny wyraz twarzy, choć serce stoi mi w gardle. Kiedy napotykam spojrzenie mężczyzny, wiem, że dwórka dobrze widzi mój strach. Kąciki jego ust unoszą się leciutko, co sprawia upiorne

wrażenie. – Wszystko to sam zrobiłem.

– Przed, czy po tym, jak oberżnęli ci jaja? – pryham.

Na ułamek sekundy szerzej otwiera oczy, nie wydaje się jednak ani zirytowany, ani urażony. Właściwie to jego koszmary uśmiezek staje się nawet szerszy. Widzę zęby mężczyzny. I krwawoczerwone dziąsła.

– Och, moja pani mądrze w tym roku wybrała – mruczy pod nosem.

– Bardzo, bardzo mądrze.

Jakby na hasło, drzwi otwierają się i do pomieszczenia wpływa Hrabina Kamienia. Podejrzewam, że ta kobieta jest w stanie zrobić wielkie wejście w każdej sytuacji, ale wmaszerowując do swojego lochu, robi wybitnie wielkie wrażenie. Ma na sobie wściekle żółtą suknię, znacznie, w mojej opinii, za małą. Pod tkaniną, na wysokości talii, ud i ramion, wyraźnie odznaczają się zwały ciała. Przypomina mi się, jak moja siostra, Sable, uczyła mnie, jak się robi chleb. Hrabina ma ten sam kolor i konsystencję co wyrośnięte ciasto.

– Jak to się ma, Fredericku? – pyta, obrzuciwszy mnie wpierw przelotnym spojrzeniem.

Sztywnieję, słysząc słowo „to”.

– Będiesz usatysfakcjonowana, pani. Myślę, że znalazłaś, czego szukałaś. – Frederick zgina się w ukłonie.

– Dobrze. Kiedy zobaczyłam to stworzonko na scenie, wiedziałam, że to właśnie to. Powiedz Emile’owi, żeby wyszykował to na wieczór. Ma robić wrażenie.

Szlag mnie trafia, kiedy mnie tak nazywa. Nie zniosę tego. Chwytam kraty i podciągam się na kolanach. Jeden ze szmaragdów wbija mi się w dłoń.

– Nazywam się Raven Stirling – wrzeszczę. – I jestem silniejsza od ciebie.

Natychmiast żałuję ostatnich słów, bo brzmią dokładnie tak żałośnie, jak się w tej chwili czuję.

Hrabina zwraca na mnie swoje onieśmielające spojrzenie, ale nie cofam się. Może i wsadziła mnie do klatki, ale nigdy nie dostanie mojej duszy.

Kobieta rusza powoli w moją stronę, rozkoszując się każdym

krokiem. Przykuca przy klatce tak, że nasze oczy znajdują się teraz na tym samym poziomie.

– Nie masz imienia – mówi miękko, głosem niemal matczynym. – I nie masz żadnej władzy. Jesteś moja.

– Nie jestem niczyją własnością – oznajmiam.

Frederick chichocze, ona jednak tylko wzrusza ramionami i odwraca się.

– To się okaże – mówi, idąc ku drzwiom. Nagle przystaje i spogląda na dwórkę. – Szczypta, Fredericku, tylko szczypta – rzuca.

Mężczyzna znów się kłania.

– Oczywiście, moja pani.

Nim drzwi się zamykają, dostrzegam na korytarzu mgnienie białej tkaniny. Frederick obraca się w moją stronę.

– Teraz się przekonamy, jak silna naprawdę jesteś – zapowiada.

Podchodzi do narzędzi tortur – powinnam przestać je tak nazywać choćby w myślach, bo tylko mi od tego gorzej – i po chwili namysłu wybiera trzeci co do długości pręt. Na jego końcu znajduje się ostry, zakrzywiony kolec wielkości ziarna fasoli osadzony w pierścieniu diamentów. W całym ciele czuję łomot swojego serca. W piersi, w gardle, w żołądku, w stopach, nawet między oczyma. Cofam się jak najdalej od dwórki. Czyli niezbyt daleko.

Frederic uśmiecha się szkaradnie, ukazując swoje przekrwione dziąsła.

– I co? Nie ma gdzie uciekać, laleczko – mruczy.

Zamieram. W jednej chwili zamieniam się w słup soli. On chce, żebym uciekała. Mój strach daje mu siłę. Dobrze więc. Będę posągiem. Jestem posągiem. Jedyne moje oczy się poruszają, śledząc obchodzącego w koło klatkę Fredericka. Tunika, w którą mnie odziano, ledwie okrywa mi uda, ale to nie jest czas na skromność. Zmuszam się do bezruchu i spokoju.

Bezruch i spokój.

Będę odważna.

Mężczyzna przygląda mi się uważnie i przez jeden krótki moment myślę, że oto czuję smak zwycięstwa. Frederick tak bardzo pragnie, żebym z nim walczyła, żebym płakała, a ja odmawiam mu tej

przyjemności. Przeciąga palcami po pręcie, a pomiędzy jego brwiami pojawia się zmarszczka.

Nie należę do niego. Nie posiadzie mnie. Nie jest w stanie mnie przerazić, jeśli uznam, że nie będę się bać. Wciąż mam w sobie moc, nieważne jak krucha i delikatna by ona nie była.

Chcę jeszcze bardziej go wkurzyć, więc się uśmiecham.

Złota laska uderza między prętami klatki prędką niczym bicz, a kolec wbija mi się między dwa największe palce stopy. Z ust wyrывa mi się pełen bólu okrzyk. Krew tryska na posadzkę, gorąca i czerwona.

Frederick gwałtownie cofa laskę, zakrzywionym kolcem wyrывая mi kawał mięsa spomiędzy palców. Mój krzyk zamienia się w wycie. Padam na posadzkę i przetaczam się na bok, obejmując dłońmi zranioną stopę. To boli. Tak strasznie boli.

Frederick odwiesza narzędzie tortury na ścianę, nawet go nie czyszcząc.

– Takie małe przypomnienie – mówi miękko, a potem odwraca się i wychodzi z pomieszczenia.

Przygryzam wargę tak mocno, że najpewniej ją rozcinam, nie pozwolę jednak, by z moich ust dobył się kolejny dźwięk. Przyciskam policzek do zimnych kamieni. Dłonie mam śliskie od krwi.

Nie będę płakać. Nie będę.

Ale łzy i tak płyną.

Usiłuję zapanować nad oddechem, tylko na nim się koncentruję. Rytm serca synchronizuje się z pulsowaniem zranionej stopy.

Nagle dociera do mnie, że dokładnie to samo może być udziałem Violet.

Oraz Lily.

Lily zawsze była bardziej przyjaciółką Violet niż moją. Była zbyt otwarta i prostolinijna, nazbyt ekscytowała się perspektywą zostania surogatką, że bym była w stanie naprawdę ją polubić. Czy gdzieś tam, za murami, ktoś właśnie dźga Lily w stopę? Tnie jej gładką skórę? Nie była zbyt dobra w Auguriach, dostała więc niski numer i prawdopodobnie wylądowała w Banku. Czy to może ją ocalić?

Drzwi znów się otwierają, a ja wracam myślami do samej siebie, bo

nieważne jak bardzo pragnę być nieustraszona, przeraża mnie myśl, że Frederick wrócił, żeby dalej się nade mną znęcać. Zaciskam zęby i przygotowuję się na kolejną porcję bólu. Nie będę na niego patrzeć.

Tym razem nie usłyszy mojego krzyku.

– Cześć – mówi ktoś niepewnie, melodyjnym głosem. Znów nie wiem, czy to kobieta czy mężczyzna. Na szczęście to na pewno nie Frederick.

Słyszę brzęczenie metalu i kliknięcie otwieranego zamka.

– Chodź – mówi głos. – Chyba chcesz opuścić tę klatkę?

Na te słowa unoszę głowę.

W otwartych drzwiach klatki kuca chłopak w moim wieku, może kilka lat starszy, o skórze o kilka odcieni ciemniejszej niż moja i błękitnych oczach w kształcie migdałów. Grube, kręcone czarne włosy ma spięte na czubku głowy w kok. Jest ubrany na biało, w charakterystyczną dla dwórek szatę z wysokim kołnierzem.

Krzywi się, patrząc na moją stopę.

– O rany... – Rzuca spojrzenie na wiszące na ścianie srebrne instrumenty i wyczuwam, że dobrze je zna, a to, czym potraktował mnie Frederick budzi w nim jakieś wspomnienia. Nagle uśmiecha się i wyciąga do mnie dłoń. – Jestem Emile. Nie skrzywdzę cię. Obiecuję. Nie od tego jestem.

Nie ufam mu. Nie mogę. Nie mogę ufać nikomu.

Ale nie chcę też zostać w klatce.

Nie przyjmuję jego ręki.

– Cofnij się – rzucam.

Chłopak kiwa głową i oddala się, zostawiając drzwi klatki otwarte. Wyczołguję się z więzienia. Mam wrażenie, jakby z moim każdym kolejnym ruchem ktoś wpychał mi w stopę odłamki szkła.

Wstaję z wysiłkiem, a moje stawy protestują. Jestem wyższa od Emile'a.

Chłopak uśmiecha się do mnie.

– Zajmę się tym, kiedy znajdziemy się w gotowalni – mówi, wskazując moją zranioną stopę. – Chcesz, żebym cię zaniósł?

Nie wygląda na dość silnego, by to zrobić, ale to nie lęk, że mnie upuści, sprawia, że potrząsam głową.

Tak długo, jak mam chociaż cień wyboru, pozostanę sobą.

– Nic mi nie jest – wyduszam przez zaciśnięte zęby.

Chciałabym mu zaimponować moją siłą, ale na jego twarzy maluje się wyraz rezygnacji i rozczarowania.

– Dobrze – zgadza się cicho. – Ale służę pomocą, gdybyś jej potrzebowała.

– Nie potrzebuję – mamroczę.

Rozdział 3

Kiedy kończymy wspinaczkę na trzeciej schodach, w głowie mi wiruje, w uszach dzwoni, a przed oczyma latają ciemne plamy. Rozpaczliwie pragnę złapać Emile'a za rękę i błagać go, żeby mnie zaniósł, bo każdy kolejny stopień zdaje się agonią. Tak strasznie dużo schodów... Ten pałac to góra, której szczytu nie widać. Moje stopy wrzeszczą o pomoc, albo chociaż o odpoczynek. Zatrzymajmy się, wołają. Już dość.

Milczę.

Kiedy stajemy u stóp spiralnej klatki schodowej, Emile obraca się w moją stronę.

– Jesteśmy prawie na miejscu.

Jakimś cudem zdobywam się na to, by skinąć głową. Nawet ten drobny ruch sprawia, że świat zaczyna się kołysać.

Stopa za stopą. Stopa za stopą. Tylko o tym myślę.

Kiedy Emile otwiera drzwi znajdującej się na szczycie schodów komnaty, mam ochotę rozplakać się z ulgi. Ale na widok pokoju znów się spinam.

Komnata udekorowana jest onyksami i złotem, a jej sufit podpierają połyskliwe kolumny. Na podłodze leży gruby, złocisty dywan, a wielkie łóżko z białym baldachimem okrywa bogato zdobiona kapa w odcieniu miedzi. Pomieszczenie przypomina ciemne pudło z rzędem okrągłych okien. Jest w nim również sofa w biało-złote pasy i mahoniowy stolik z pasującymi do niego krzesłami. Po prawej znajduje się zimny, pusty kominek z ciemnego kamienia. Pomędzy oknami wiszą portrety w złoconych ramach. To wizerunki kobiet w różnych sukniach i w różnych sytuacjach. Niektóre trzymają książki, inne siedzą przy biurkach, a jedna z nich sięga po leżące na srebrnej paterze winogrona.

Po chwili dociera do mnie, że na każdym z portretów jest jedna i ta sama kobieta.

Dopiero, gdy Emile podchodzi do mnie ze słojem w jednej i fiolką w drugiej dłoni, orientuję się, że przez długą chwilę stałam sama.

– Usiądź, proszę – mówi.

– Nic mi nie jest – wyrzucam z siebie, ale nogi nie chcą mnie słuchać i uginają się pode mną. Po chwili konstatuje z zaskoczeniem, że gapię się na pomalowany w gwiazdy sufit. Konstelacje machają do mnie i mam wielką ochotę im odmachać.

– Straciłaś dużo krwi – oznajmia Emile.

Nagle czuję na stopie cudowny chłód, który rozprzestrzenia się do góry, ku łydce i natychmiast tłumi ból. Nie mogę powstrzymać jęku ulgi, który dobywa się z moich ust. Niemal od razu wracają mi siły. Wspieram się na łokciach.

Emile trzyma w dłoni niewielką fiolkę. Rozchyła palce mojej stopy i z wielką uwagą nakłada na otwartą ranę jedną kroplę czarnego płynu. Mam wrażenie, jakby zranienie zrastało się na moich oczach. Potem dwórka rozsmarowuje na mojej stopie kolejną partię tego czegoś, co znajduje się w słoiku i ból zupełnie znika. Moja skóra wygląda tak, jak kilka godzin temu. Jest nienaruszona. Jakby Frederick wcale mnie nie dźgnał.

Zmysły mi się wyostrzają. Siadam. To dziwne, ale brak bólu sprawia, że czuję się niepewnie. To się stało zbyt szybko. Jakbym nigdy nie była ranna.

– Co to za miejsce? – pytam, rozglądając się po komnacie. Jej piękno przyprawia mnie o niepokój. Nie ufam temu, co widzę.

– To kwatery surogatki – odpowiada Emile.

– Ach... To dlaczego wcześniej byłam w klatce?

– Musimy cię przygotować na kolację – oznajmia Emile, ignorując moje pytanie, i wstaje.

– Nie będę jadła z Hrabinią – oświadczam, choć muszę przyznać, że jestem wściekle głodna. Wolę jednak umrzeć z głodu, niż sięść do stołu z tą kobietą.

Emile znów się uśmiecha.

– To kolacja z czterema Domami Założycieli i z Wybranką – wyjaśnia.

Przez to wszystko, co wydarzyło się po tym, jak obudziłam się w tym Pałacu, zupełnie zignorowałam fakt, że kupił mnie jeden z Domów Założycieli. Ciekawe, czy pozycja w hierarchii Klejnotu ma jakiś

związek z tym, jak bardzo arystokratki są okrutne dla swoich surogatek.

Należało oblewać testy. Należało starać się dostać numer 1.

– Czy powinnam w ogóle pytać, czy mogłabym iść w tym? – mamroczę, szarpiąc za czarną tunikę.

– Nie.

Emile odwraca się i podchodzi do jednej ze ścian, a potem odsuwa panel, którego nie zauważyłam wcześniej. Za nim ukrywa się szafa wypełniona rzędami połyskliwych sukien.

W głowie pobrzmiewają mi słowa Patience, Opiekunki z Bramy Południowej. W Dniu Obrachunku zastanawiałam się, czy w Klejnocie będę mogła nosić spodnie.

Na twoim miejscu nie robiłabym sobie wielkich nadziei.

Kiecka to teraz najmniejszy z moich problemów.

Nie patrzę, co Emile wyciąga z szafy. Gapię się w najbliższe okno, przez które widzę złocistą iglicę wznoszącą się poza wysokim murem zwieńczonym ostrymi szpikulcami.

– Tędy, 192 – mówi Emile.

Stoi w drzwiach do pięknie urządzonej, wyłożonej marmurem i zdobionej srebrem i złotem łazienki.

– Nazywam się Raven – oświadczam, mijając dwórkę, bo, prawdę powiedziawszy, zabiłabym za porządną kąpiel. Ale wanna jest za mała, żeby się w niej wyciągnąć i nie ma tu żadnej zasłony. Z sufitu zwisa za to kawał metalu, który przypomina lampę. Emile pociąga za dźwignię i nagle z lampy tryska wodospad.

– Domyślam się, że nigdy wcześniej nie brałaś prysznic, 192?

– Nie – odpowiadam, boleśnie świadoma faktu, że nie użył mojego imienia.

– Myślę, że ci się to spodoba.

Przez chwilę stoję nieruchomo, czekając, aż chłopak wyjdzie, ale on wiesza sukienkę, którą będę musiała na siebie włożyć, na ścianie łazienki i obraca się w moją stronę. Wydaje się zaskoczony tym, że wciąż mam na sobie tunikę i jestem sucha.

– Nie chcesz wziąć prysznic? – pyta.

– Nie masz zamiaru wyjść?

Jego usta lekko się zaciskają.

– Nie.

Nie wiem, co robić. Jedynym mężczyzną, który widział mnie nago, jest doktor Steele. Wtedy zresztą nosiłam szlafrok, a doktor tylko mnie obejrzał. Przez chwilę.

Drżącymi rękoma ściągam tunikę. Od chłodnego powietrza na brzuchu wyskakuje mi gęsia skórka. Zmuszam się, by nie patrzeć na Emile'a, gdy wchodzę pod prysznic. Gorąca woda spływa mi z włosów na ramiona oraz plecy i niżej, po piersiach, talii, udach, aż na stopy, ani na chwilę nie pozwalając mi zapomnieć o tym, że jestem naga. Nie wiem, jak mam być odważna tu i teraz. Odwracam się od Emile'a, bo tylko w ten sposób mogę się chronić. Ale tak naprawdę nic to nie daje, bo to przecież intymna sytuacja i powinnam być w łazience sama. Czuję się, jakby mnie ktoś zgwałcił, jakby ktoś rozpruł moją skórę i obnażył przed wszystkimi moje wnętrzności.

Nie umiem cieszyć się ani gorącą wodą, ani zapachem mydła. Chcę tylko mieć to już za sobą.

Gdy tylko kończę splukiwać włosy, woda przestaje lecieć i Emile pojawia się koło mnie, trzymając ręcznik. Ciasno owijam się materiałem. Za ciasno. Ledwie mogę oddychać. Nogi dygoczą mi, kiedy wychodzę z brodzika. Emile ma drugi ręcznik, mniejszy. Wyciera mi nim włosy, aż przestaje kapać z nich woda. Potem podaje mi suknię. Wygląda podobnie do tej, którą miałam na sobie na Aukcji, ale nie przypomina przebrania. Materiał jest jedwabisty, a kreacja leży na mnie, jak szyta na miarę.

Co za ulga, znowu mieć na sobie ubranie. Mój oddech zwalnia, a napięte mięśnie ramion rozluźniają się lekko.

– Pora na fryzurę i makijaż – oznajmia Emile, gestem dając mi znać, bym szła za nim.

Przygotowanie mnie zajmuje sporo czasu. Przerabiałam to już przed Aukcją. Po prostu nie jestem dobra w siedzeniu nieruchomo. Przynajmniej Emile nie wygraża mi, że przywiąże mnie do krzesła. No i w jego makijażu nie wyglądam jak nadmiernie wypacykowana lalka. Nie przesadza z kosmetykami, nakłada nieco złota na moje powieki i odrobinę różu na usta. Siedzenie tutaj wcale nie jest takie złe. Gdy

Emile kończy, wspomnienie tego koszmarnego prysznicza nieco blednie, a kiedy przeglądam się w lustrze, muszę przyznać, że wyglądam całkiem nieźle.

– Gotowe – oznajmia. Wzdycham z ulgą.

I wtedy otwierają się drzwi.

Cała się spinam, gdy widzę wkraczającego do komnaty Fredericka. W jednej dłoni trzyma coś, co wygląda jak srebrny naszyjnik, w drugiej zaś kawał czarnej wstążki.

– Jest gotowe? – pyta.

Emile po prostu kłania się nisko i robi gest w moim kierunku. Frederick pociąga nosem.

– Ujdzie.

Podchodzi bliżej, jakby chciał mi się dokładnie przyjrzeć. I nagle, jednym szybkim ruchem, zapina mi na szyi obrozę.

– Co?! – Ciągnę za obrozę, a Frederick podaje łańcuch Emile'owi.

– Trzymaj mocno – instruuje go.

Jestem na smyczy.

– Nie! – wrzeszczę, drapiąc metal opasujący moją szyję. Paznokciami orzę sobie skórę.

– Powiedziałem, trzymaj mocno, Emile – warczy Frederick. Nagle moja głowa odchyła się do tyłu i tracę oddech. W tym momencie czuję, jak coś zimnego zatrzaskuje się na jednym moim nadgarstku, a potem na drugim. Nacisk na szyję znika i zachłannie łapię powietrze. Ręce mam zakute w prawdopodobnie najpiękniej na świecie wykonane kajdany. Grawerowana srebrna ryba pływa w morzu szafirów.

– Będiesz teraz grzeczną dziewczynką? – pyta miękko Frederick. Jego obrzydliwy krogulczy nochal znajduje się ledwie cale ode mnie.

Nie jestem niczyją dziewczynką. A już na pewno nie jego.

Pluję mu w twarz.

Frederick chichocze i wyciąga z jednej z kieszeni chusteczkę, by się wytrzeć.

– Ktoś mógłby pomyśleć – rzuca – że uwielbiasz być karana.

W jego głosie jest coś lubieżnego, coś, co sprawia, że nagle czuję się jeszcze bardziej naga, niż biorąc prysznic przy Emile'u.

Frederick wyciąga dłoń i Emile bierze od niego czarną wstążkę. Ostatnim, co widzę, nim czarna materia owija się wokół mojej głowy i zasłania mi oczy, jest Frederick głaszczący pieśczośliwie smycz.

Zapada ciemność. Czuję mocne szarpnięcie.

– Idziemy – oznajmia Frederick. – Przecież nie chcemy się spóźnić.

Prowadzą mnie przez pałac Hrabiny na smyczy i z zasłoniętymi oczami.

A myślałam, że spotkania z doktorem w Bramie Południowej były paskudne. Albo lekcje Augurii. Albo gotowalnia przed Aukcją. A przecież były niczym w porównaniu z tym, czego doświadczam teraz. Ile jeszcze upokorzeń będę musiała wycierpieć? Przecież jestem tu ledwie dzień.

Nic nie widzę, muszę więc wyciągać przed siebie dłonie, żeby na nic nie wpaść. Czuję się i wyglądam idiotycznie. Zwłaszcza schody są zdradliwe. Ani na jotę nie ufam Frederickowi, więc z każdym krokiem spodziewam się, że podłoga umknie mi nagle spod stóp. Nie byłabym zaskoczona, gdyby okazało się, że w tym pałacu jest mnóstwo zapadni, pułapek i innych okropności.

I słyszę szepty. Otacza mnie błoga cisza, aż niespodziewanie wychodzimy za róg i nagle dobiegają mnie kroki i głosy.

– Ach, to jest to.

– Wyższa niż ostatnia.

– I ładniejsza.

– O, spójrz, potyka się.

Potem skręcamy w kolejny korytarz i głosy milkną, a mnie płoną policzki i skręca się żołądek.

Denerwuje mnie, że wszystkie te głosy są męskie.

Niespodziewanie czuję na twarzy chłodny powiew.

– Wsadź to do samochodu, Fredericku. – Na dźwięk głosu Hrabiny cierpnie mi skóra. Nie wiem, czy cieszę się, że jej nie widzę, czy jeszcze bardziej mnie to przeraża.

Frederick wlecze mnie za sobą, a stalowa obręcz wpija mi się w kark. Po chwili dwórka kładzie mi dłoń na głowie i popycha mnie.

– Wsiadaj – komenderuje.

Instynktownie wyciągam przed siebie skute rękę, żeby się nie

przewrócić i dotykam czegoś gładkiego, co pachnie jak skóra.

– Byłoby łatwiej, gdybym coś widziała – mamroczę pod nosem. Wsiadając do środka transportu, czymkolwiek by on nie był, przydeptuję sobie suknię. Drzwi po drugiej stronie otwierają się. Po tym, jak ugina się miękkie siedzisko, wnoszę, że do środka wlała Hrabina. Czuję jej obecność i cofam się najdalej jak tylko mogę.

– Jedziemy. – To jedyne, co mówi. Słysząc pomruk silnika, a potem ruszamy.

Podróż zupełnie nie przypomina tej, którą odbyłam elektryczną dorożką w Dniu Obrachunku. Mam wrażenie, jakbyśmy sunęli nad ziemią, a nie po niej jechali. Może zresztą tak jest. Skąd mam wiedzieć?

Przez jakiś czas zataczamy kręgi, aż wreszcie zupełnie tracę poczucie kierunku. Tylko raz panujące w samochodzie milczenie zostaje przerwane.

– Musi być bardzo pewna siebie – zauważa Frederick. – Minęło dziewiętnaście lat.

– Myli się – odpowiada mu Hrabina.

Czymkolwiek nie byłoby to, czym podróżujemy, zwalnia. Wyczuwam, że droga przestała być taka gładka. Czyżbyśmy jechali po żwirze? Po chwili zatrzymujemy się, a drzwi koło mnie się otwierają.

– Czy potrzebuje pomocy? – pyta nieznajomy, świszczący głos.

– Absolutnie nie – odpowiada Frederick.

Czuję szarpnięcie obroży i niezgrabnie wysiadam z samochodu.

– Uważaj na schodach – rzuca Frederick. Nie sędzę, by mówił do mnie, ale po chwili uderzam stopą w kamienne podwyższenie. Idąc, liczę stopnie, jest ich pięć, ale są niskie i szerokie, nie wspinamy się więc wysoko. Podążam za dwórką, a moje kroki odbijają się echem od gładkiej posadzki. Wydaje mi się, że słyszę szum wody.

Nagle moja opaska znika.

Pomieszczenie skąpane jest w łagodnym świetle, ale i tak muszę mrugnąć kilka razy, żeby moje oczy się przyzwyczyły. Stoję w wielkim holu, w środku którego pyszni się fontanna. Starszy mężczyzna w eleganckim fraku odbiera właśnie od Hrabiny płaszcz.

– Tędy – oznajmia spokojnie. Ruszamy przez hol ozdobiony ogromnymi olejnymi obrazami. Starszy mężczyzna zatrzymuje się przed zamkniętymi drzwiami i obraca się do Fredericka.

– Możesz poczekać tutaj – mówi.

Frederick kiwa głową i rusza, ale człowiek we fraku odkasłuje.

– Jej Miłość życzy sobie, żeby wszelkie akcesoria pozostawić tutaj – oświadcza.

Dwórka unosi brew, a Hrabina wydaje z siebie cichy chichot.

– Oczywiście – mówi. – Wedle życzenia naszej cudownej gospodyni.

Frederick z wyraźną niechęcią zdejmuje mi kajdany i obrozę. Rozmasowuję kark.

Po chwili dwórka znika w tajemniczym pokoju. Nim zamyka za sobą drzwi, dostrzegam w komnacie więcej białych szat. Idziemy dalej za starszym mężczyzną, aż wreszcie stajemy przed podwójnymi drzwiami, na straży których stoi lokaj. Służący wypręża się na nasz widok.

– Chwileczkę – odzywa się Hrabina, gdy lokaj rusza, by nam otworzyć. Obraca się do mnie. – Masz zachować milczenie. Nie zjesz więcej niż trzy kęsy każdej potrawy, która zostanie zaserwowana. Trzy. Będę liczyć. Nie próbuj porozumiewać się z innymi surogatkami. W żaden sposób. Jeśli złamiesz którąś z tych zasad, obetnę ci język. Rozumiesz?

Potakuję, nie tylko dlatego, że wierzę w to, że jest do tego zdolna. Powiedziała o innych surogatkach. One tam są. W tej komnacie. Czyżbym miała okazję tak szybko spotkać się z Violet?

– Dobrze – kwituje Hrabina.

Lokaj otwiera drzwi i anonsuje nas towarzystwu.

– Hrabina Kamienia – oznajmia głośno. – I jej surogatka.

Rozdział 4

Wkraczamy do absurdalnie wielkiej jadalni.

Ściany pomieszczenia są bordowe, a rozstawione we wszelkich możliwych miejscach i zapełniające zwieszający się nisko żyrandol świece oblewają komnatę łagodnym blaskiem. Wszystkie meble są z ciemnego, wypolerowanego na wysoki połysk drewna. Zupełnie jakby ten, kto urządzał to miejsce, dążył do tego, by krzychało ono: och, jestem takie potężne i takie złe... A zresztą, pewnie taka właśnie jest gospodyni. Znajduje się tu również mnóstwo fikuśnych kwiatowych dekoracji, barek z alkoholem i wielkie, łukowate okna. Ja jednak nie podziwiam otoczenia. Koncentruję się na ludziach.

A właściwie na innych surogatkach. Arystokraci obchodzą mnie tyle, co zeszłoroczny śnieg.

Obydwie przebywające tu surogatki pamiętam z poczekalni w Domu Aukcyjnym. Jedna z nich to ta blondynka, której stylistą poczuł wenę i wykreował jej na głowie całkiem udatne blond mrowisko. Ze spływającymi na ramiona lokami wygląda o wiele normalniej. Druga z surogatek, ciemnoskóra dziewczyna z warkoczykami i wzrokiem, który mógłby zabijać na odległość, stoi koło wiekowej kobiety w czerwonej sukni. Nie jestem zaskoczona, gdy ciemnoskóra piorunuje mnie spojrzeniem. A może wcale nie ma na myśli nic złego. Może taka się już urodziła.

Violet nie ma.

Nie powinnam być rozczarowana.

Młoda dama o cerze równie ciemnej jak cera Panny Zabiję Cię, pochyla się ku Hrabinie i całuje ją w obydwa policzki. Już na samą myśl o dotknięciu tej baby mam mdłości. Gdybym miała ją całować, chyba naprawdę bym się porzygała.

– Ebony – mówi nieznajoma. – Tak się cieszę, że przyszłaś.

Hrabina uśmiecha się.

– Przecież wiesz, że nie zostawiłabym cię na tej kolacji samej, Alexandrite.

O rany, skąd oni biorą te imiona?

– W tym roku pewność siebie chyba uderzyła jej do głowy – ciągnie arystokratka.

– Nie martwi mnie to – odrzeka Hrabina.

Alexandrite mierzy mnie spojrzeniem tak, jak farmer mógłby ocenić swoją kobyłę.

– Jest strasznie chuda – zauważa. – Jesteś pewna, że da radę?

– Siła fizyczna nie jest tak ważna jak odporność psychiczna – oznajmia Hrabina. – Jestem przekonana, że doktor Falme nie będzie miał problemu z zapłodnieniem.

Z „zapłodnieniem”... Na to słowo po kręgosłupie przebiega mi dreszcz niczym pająk o włochatych odnóżach. Zauważam jednak, że ta arystokratka nie określiła mnie mianem „czegoś”. Czyżby tylko Hrabina się tak wyrażała? Dociera do mnie, że mogłam wpaść w łapy najgorszej kobiety w całym Klejnocie. To, co dzisiaj przeszłam, najwyraźniej wcale nie jest normą.

A może to tylko kwestia etykiety. Może nazywanie surogatki „czymś” w towarzystwie uważa się za niekulturalne.

Drzwi, którymi tu weszliśmy, znów się otwierają.

– Jej Królewska Wysokość, Wybranka. I jej surogatka – wykrzykuje z entuzjazmem lokaj.

Zebrane arystokratki dygają unisono. Blondyna, Panna Zabiję Cię i ja idziemy za ich przykładem. Kiecka, którą mam na sobie, jest zdecydowanie za ciasna, żeby giąć się w niej w ukłonach. Poza tym nigdy nie miałam głowy do uczenia się tych kretyńskich zasad, które tak kocha szlachta.

– Ebony – mówi Wybranka, gdy jasne staje się, że możemy się już wyprostować.

– Jestem zaszczycona, Wasza Wysokość – odpowiada Hrabina. – I gratuluję zdobycia najwyższego numeru na Aukcji.

Mam ochotę głośno prychnąć. Jasne, bo to były wielkie zawody. Nie uwierzę w to, że ktoś śmiałby konkurować z Wybranką.

A potem dostrzegam skrytą w cieniu oślepiająco różowej sukni władczyni sylwetkę i w gardle zalega mi lepka klucha.

Znam tę dziewczynę. Widziałam ją w poczekalni. To ona wyglądała tak blado i niepozornie. To jest numer 200?! Nie może mieć więcej niż

trzydzieści lat.

Do komnaty cicho wchodzi mężczyzna, który nas tu przywiódł i, nie zwracając na siebie uwagi, idzie pod ścianą ku innym drzwiom, za którymi po chwili znika.

– Jak myślisz, ile każe nam czekać? – pyta Wybranka.

– Najpewniej oczekiwała na twoje przybycie, Wasza Wysokość – mówi Hrabina.

Starszy mężczyzna wraca i powtarza swój manewr, by wyjść podwójnymi drzwiami. Po chwili do pomieszczenia wchodzi grupa lokajów. Mężczyźni stają w różnych miejscach sali, niczym posągi. Nikt poza surogatkami nie zwraca na nich uwagi.

– Na Aukcji zachowywała się okropnie – oznajmia Wybranka.

– Najprawdopodobniej przekupiła Licytatora – rzuca Hrabina.

– No cóż, to niezbyt uczciwe. Wydaje mi się, że w przyszłym roku powinniśmy zaostrzyć zasady.

– Krok po kroku, Wasza Wysokość. Krok po kroku.

Trzecia arystokratka, ta najmłodsza, kręci się przy Hrabinie i Wybrance, wyraźnie mając nadzieję, że zostanie zaproszona do dyskusji, ale interlokutorki albo jej nie zauważają, albo tylko udają, że nie istnieje.

Otwierają się drzwi do drugiej komnaty.

Do jadalni wchodzi kobieta. Ma na sobie piękną suknię z niebieskiego jedwabiu, a jej skóra, oczy i włosy podobne są do moich. Jest piękna, ale w przerażający sposób. Przypomina lodową rzeźbę albo przyczajoną do skoku panterę.

Nagle przestaje mnie ona obchodzić, bo tuż po niej w komnacie zjawia się Violet.

Violet!

Mam ochotę wykrzyknąć jej imię, chcę podbiec do niej, zarzucić jej ramiona na szyję i poczuć, że nic jej nie jest. Czy ona też była trzymana w klatce? Czy ta przerażająco piękna arystokratka krzywdzi ją gdzieś w tym pałacu, za bordowymi, oświetlonymi płomieniami świec ścianami?

Violet spostrzega mnie i jej twarz się rozjaśnia. Prezentuje się oszałamiająco, jak zwykle. Podobnie wyglądała na Aukcji, ale teraz

sprawia wrażenie bardziej wyrafinowanej. Połyskliwy fiolet sukni, w którą ją odziano, sprawia, że jej oczy błyszczą.

Czuję, jak rozpaczliwie chce tego, czego i ja pragnę – porozmawiać, przytulić się, wybuchnąć śmiechem pełnym niedowierzania, że jakimś cudem spotkałyśmy się tak prędko. W tej chwili żałuję, że wcześniej pomyślałam, że wołałabym być numerem 1. Obydwie z Violet jesteśmy bystre i silne i właśnie dlatego trafiłyśmy do Domów Założycieli. I w jakiś pokrętny sposób jesteśmy razem. Jesteśmy drużyną, jak kiedyś.

Po chwili dociera do mnie, czego mi do tej pory brakowało.

Nadziei.

Tak długo, jak mam nadzieję, nic mi nie będzie. A nadzieja jest rzeczą tak prostą, jak ujście mojej najlepszej przyjaciółki.

– Dobry wieczór, miłe panie – mówi głośno pani Violet i obraca się do Wybranki. – Wasza Królewska Wysokość. To zaszczyt, że zechciałaś pani, wziąć udział w moim skromnym poczęstunku. Wiem, że zaproszeń było wiele.

Opada we wdzięcznym dygnięciu. Z trudem tłumię jęk i niemal się przewracam, gdy wszystkie znów się kłaniamy.

Wiem, że wyglądam idiotycznie, bo kiedy spoglądam na Violet, widzę, że w środku aż trzęsie się ze śmiechu. Posyłam jej zgryźliwy półśmiech.

Pamiętasz, jak Lily uczyła mnie dygać, chcę ją zapytać. Pamiętasz, jak niemal wpadłaś w histerię, tak strasznie się śmiałaś?

– Cała przyjemność po mojej stronie – odpowiada Wybranka. Ma wysoki głos, jej słowa brzmią jak ptasi trel. – Za nic nie chciałabym przegapić kolacji w towarzystwie pań z czterech Domów Założycieli. Usiądziemy?

Lodowolica pani Violet wydaje się mocno zirytowana tym, że ktoś śmie sugerować jej coś we własnym domu, ale szybko odzyskuje opanowanie.

– Oczywiście – mówi. Jej uśmiech jest przerażający. Wydaje się absolutnie szczerzy, choć przecież wcale taki nie jest.

Szczerze mówiąc, do tej pory starannie ignorowałam wszystkie wiadomości na temat arystokracji. Cokolwiek docierało do mnie tylko

wtedy, gdy Lily ględziła tak długo, że nie byłam w stanie się wyłączyć. Testy z wiedzy o kulturze i zwyczajach Klejnotu oblałam pięć razy.

Są dwie Diuszesy i dwie Hrabiny. Tyle wiem. I nic więcej.

Otoczające nas rzeźby lokajów ożywają nagle i odsuwają dla nas krzesła. Siadam koło Hrabiny i zagapiam się na najbardziej ogłupiający zestaw sztucców, jaki widziałam do tej pory. Po co komu tyle widelców? Jeden w zupełności by wystarczył.

– Muszę przyznać, Pearl, że jestem dość zaskoczona, że ta kolacja w ogóle się odbywa – mówi Hrabina do pani Violet. – Kiedy ostatnio kupiłaś jakąś surogatkę?

Kobieta rzuca Hrabinie spojrzenie, przed którym nawet Panna Zabiję Cię uciekłaby z wrzaskiem.

– Och, Ebony, dlaczego udajesz, że nie znasz odpowiedzi na własne pytanie?

– Nie kupiłaś żadnej od dnia, w którym na świat przyszedł twój syn, prawda, Pearl? – wcina się Wybranka. O rany, jak ona piszczy, nie wiem, jak Hierarcha może to całymi dniami znosić. Jej głos doprowadza mnie do szału. – Dziewiętnaście lat to szmat czasu. Cierpliwość godna pozazdroszczenia.

– Dziękuję, Wasza Wysokość – odpowiada kobieta.

Lokaje zaczynają serwować pierwsze danie i mój żołądek wydaje z siebie coś w rodzaju wycia. Podano jakiś rodzaj sałatki z gruszkami albo czymś podobnym. Nie obchodzi mnie, co to jest. Mam ochotę wsadzić w to twarz i żreć, żreć, żreć.

Kiedy żuję energicznie drugi kęs, Hrabina cichutko odchrząkuje.

Ostrzeżenie.

Wolno mi skonsumować jeszcze tylko jedną porcję.

Przełykam z trudem i odkładam widelec. Boję się, że jeśli tego nie zrobię, zjem wszystko bez względu na konsekwencje.

– Powiedz mi, Alexandrite – zagaja Wybranka do arystokratki, którą wcześniej wykluczyła z konwersacji. – Jak ci się podobała Aukcja? Wiem, że pierwszy raz brałaś w niej udział.

Pojawia się drugie danie. Jakieś ciemne mięso z owocami i zieleniną.

Mam pomysł. Hrabina mówiła o trzech kęsach.

Z wielką ostrożnością dzielę potrawę na trzy części. A potem używam widelca jak łopaty i napycham sobie usta ogromną ilością żarcia.

To kaczka z figami i sosem, który jest jednocześnie słodki i kwaśnawy. Pycha! Policzki mam wydęte i aż trudno mi żuć, tyle w siebie wrzuciłam. Hrabina spogląda na mój talerz i kąciki jej ust opadają. Ha! Kazała mi zjeść trzy kęsy, ale nie uściśliła, jakiej wielkości.

Przełykam i oblizuję wargi.

– Och, była olśniewająca! – entuzjazmuje się kobieta. Tak strasznie cieszy się z uwagi Wybranki, że niemal podskakuje na krześle. – Diuk Łusek był zachwycony, że udało mi się nabyć tak wspaniałą surogatkę. Jest pewny, że nasza córka będzie doskonała.

Szykując się do kolejnego monstrualnego kęsa, kątem oka spoglądam na Violet. Moja przyjaciółka przygląda się arystokratkom. Przenosi wzrok z Hrabiny na starszą kobietę w czerwieni. Najpewniej stara się połapać, kto jest kim. O ile już tego nie wie. Jakoś nie potrafię się tym zainteresować.

W pewnym momencie dostrzegam w jej oczach błysk, dokładnie taki sam, jak wtedy, kiedy rozwikłała jakąś zagadkę Augurii, albo zrozumiała, jak grać wyjątkowo skomplikowany fragment utworu. Idę o zakład, że właśnie rozgryzła proveniencję wszystkich zebranych przy stole osób.

Gdybym tylko mogła z nią porozmawiać. Chociaż przez chwilę. Gdybym mogła chociaż usłyszeć jej głos.

– Wydaje się, że prawie wszyscy chcą mieć w tym roku córki – zauważa głośno Wybranka.

– Bez wątpienia niedawne narodziny twego syna, pani, mają wielki wpływ na decyzje arystokracji – zauważa pani Violet suchym tonem.

Śmiech Wybranki okazuje się jeszcze bardziej wkurzający niż jej piskliwy głosik.

– Och, najpewniej tak. Hierarcha życzyłby sobie jak najszybciej małego Larimara zaręczyć.

Wpycham do ust drugą porcję kaczki.

– Musi to zrobić, Wasza Wysokość – oznajmia gospodyni. – By

ogłosić, że syn jest następcą tronu, co, jak się spodziewamy, nastąpi na następnym Balu Hierarchy, dziecko musi być od roku zaręczone. Takie jest prawo.

– Dobrze znam prawa tego miasta – odwarkuje władczyni.

– A mimo to kupiłaś surogatkę – zauważa starsza kobieta w czerwieni. W jej głosie są siła i autorytet nie licujące z jej zmarszczkami i siwymi włosami. – Po cóż tak szybko mieć córkę?

– No cóż – zaczyna Wybranka, pochylając się lekko, jakby to była babska posiadówka, a nie proszona kolacja. – Życzeniem mojego męża jest, by to nasz syn odziedziczył tron. Ale ja zawsze miałam nadzieję, że kiedy mnie zabraknie, Samotnym Miastem będzie rządzić moja córka. Myślę, że kobieta okaże więcej zrozumienia dla potrzeb ludu, a poza tym byłoby uroczo dać szansę jakiemuś młodemu kawalerowi z Banku. Taką samą szansę, jaką mnie dał Hierarcha. Wydaje się to uczciwe, nieprawdaż? Wesprzeć krąg, w którym sama się urodziłam. Jak sądzisz, Pearl?

Nie ma wątpliwości, że Wybranka kierowała swoje słowa do pani Violet, ale wszystkie arystokratki przy stole wyglądają, jakby właśnie wgrzyły się w cytrynę. Mięsień na szczęce Hrabiny pulsuje. Układam moją ostatnią porcję kaczki, czując w głębi ducha pewną satysfakcję.

Gospodyni nie daje się złapać na przynętę Wybranki.

– Gdzieżbym śmiała podważać opinię Waszej Wysokości – oznajmia złudnie ciepłym głosem i spogląda na Hrabinę. – A jak ty się na to zapatrujesz, Ebony? Czy Dom Kamienia również wyda na świat córkę, czy raczej ujrzymy cię za rok na kolejnej Aukcji?

Na kolejnej? To nie brzmi dobrze. Ile surogatek miała już Hrabina Kamienia? I... I co się z nimi stało. Zastygam i odkładam widelec. Głód minął, czuję się nieprzyjemnie pełna.

Hrabina wrzuca sobie do ust figę i żuje z namysłem.

– O tak, myślę, że zaczniemy od córki – oświadcza wreszcie. – Chłopcy potrafią być prawdziwym utrapieniem, prawda?

Pani Violet oblewa się rumieńcem, a Wybranka chichocze.

– Och, przy okazji, jak się miewa Garnet? – rzuca. – Mam nadzieję, że nie wpakował się znowu w jakieś kłopoty.

Garnet. Kolejne kretyńskie imię.

– Jest w swoim pokoju, Wasza Wysokość – odpowiada zwięźle gospodyni. – Uczy się.

Nagle drzwi jadalni otwierają się na oścież i do środka chwiejnym krokiem wchodzi młody mężczyzna. Ma bladą skórę i jasne włosy zaczesane do tyłu. Kilka kosmyków spada mu na oczy. Jego ramiona są szerokie, a elegancka koszula niedopięta. Facet emanuje pewnością siebie właściwą komuś, kto wie, jak dobrze wygląda.

– Matko! – wykrzykuje, unosząc pustą szklankę w kierunku gospodyni, z czego wnoszę, że to jej syn. Wzrok ma nieco zamglony i kiedy błądzi nim po pokoju, mam wrażenie, jakby dopiero zorientował się, że są tu jacyś ludzie. – Drogie panie, najmocniej proszę o wybaczenie. Nie wiedziałem, że mamy w pałacu proszoną kolację.

Jego spojrzenie zatrzymuje się na Violet. Sztywnieję.

Lepiej, żeby trzymał się od niej z daleka.

– No tak, racja – mruczy. – Aukcja.

Wybranka i ta smutna, nie ciesząca się popularnością Diuszesa, chichoczą w serwetki. Hrabina wygląda na ukontentowaną i to tylko podkreśla okrucieństwo w jej oczach i grymasie ust.

– Garnet, kochanie – mówi pani Violet głosem ostrym jak brzytwa. – Co tu robisz?

– Och, nie zwracajcie na mnie uwagi – odpowiada jej syn, machając ręką. – Wpadłem po dolewkę.

Choć nie podoba mi się ten facet, nie mogę nie docenić jego bezczelności. Zataczając się lekko, podchodzi do barku i nalewa sobie sporą porcję czegoś, co wygląda na whisky. Gospodyni natychmiast podrywa się na nogi.

– Wybaczcie na chwilę – mówi, dopadając syna i łapiąc go za ramię. Słyszę ciche „auć”, kiedy wyprowadza go z jadalni.

– I właśnie dlatego, moje panie, uważam, że Samotne Miasto powinno zostać oddane w ręce kobiet – oznajmia głośno Wybranka.

Młoda Diuszesa i Hrabina wybuchają śmiechem. Śmiech Diuszesy brzmi jak ryk katowanego zwierzęcia. To nie jest miły dźwięk. Jest głośny, ostry i trudno go słuchać.

Napotykam spojrzenie Violet i robię minę, która pyta: co jest nie tak z tymi ludźmi? Violet zaciska usta, jakby starała się nie uśmiechnąć.

Leciutko kiwa mi głową.

To kiwnięcie daje mi więcej siły niż milion sałatek i całe stado pieczonych kaczek.

Hrabina może mi kazać milczeć i głodować, ale nie może mi odebrać przyjaźni. Takiej mocy nie ma.

– Jaka szkoda, że ta decyzja nie należy do ciebie, pani – zauważa spokojnie dama w czerwieni. – To wybór Hierarchy, bo on odziedziczył wcześniej tron.

O fuj, nadal gadamy o dzieciach? Na pewno są i inne tematy do rozmowy. Na przykład, bo ja wiem, śmierć w pojedynku? Okładanie się bronią wydaje mi się bardzo w stylu tego miejsca.

– Oczywiście – ciągnie stara arystokratka, wsuwając do ust niewielki kawałek sałaty – jesteś na dworze od bardzo niedawna, dopuszczam więc do siebie myśl, że niektóre subtelności prawa sukcesji mogą ci jeszcze umykać.

Czyli drugim ulubionym tematem po dzieciach, jest wypominanie Wybrance, że nie urodziła się w Klejnocie? Rany, co za nuda. A myślałam, że prozione kolacje powinny być zabawne.

Wybranka sztywnieje.

– Jestem pewna, że wiele czasu upłynęło od dnia, w którym ostatnio zażyłaś przyjemności w sypialni, Ametrine, ale wierz mi, że nie ma potężniejszego argumentu w dyskusji niż kobiece ciało. Jestem w stanie zmienić opinie mojego męża. Nie wątp w to.

Violet rumieni się, bo zawsze się rumieni, ilekroć ktoś wspomni o seksie, ja jednak doceniam to, co właśnie zrobiła władczyni. Uczyniła całą tę rozmowę o wiele bardziej interesującą.

Pojawiają się lokaje, by uprzątnąć talerze. Widzę, jak Violet pospiesznie pakuje do ust kilka porcji kaczki. Ciekawe, czy otrzymała takie same instrukcje jak ja i, korzystając z nieobecności swojej pani, łamie zasady. Na zdrowie.

– Wasza Wysokość, nie chciałam cię obrazić – mówi starsza arystokratka. – Pamiętaj jednak, pani, że surogacja niesie ze sobą niespodzianki. Nigdy do końca nie wiadomo, co się otrzyma, a Augurie pozwalają tylko wysnuwać przypuszczenia. Może stać się tak, że będziesz wołała, pani, by to twój syn odziedziczył tron.

– Wątpię – ucina temat Wybranka, po czym gestem daje znać jednemu z lokajów. – Wezwij Luciena. Natychmiast.

Do tej pory ignorowałam pozostałe surogatki i koncentrowałam się tylko na Violet, teraz jednak przyglądam się bliżej dziewczynie siedzącej koło Wybranki. Czerwonorude włosy ma skręcone i spięte na czubku głowy, a jej drobnutką sylwetkę otula miękka, złocista szata. Mam wrażenie, że Władczyni usiłowała strojem sprawić, że dziewczyna wyda się starsza, a osiągnęła zupełnie inny efekt, bo wygląda jak dziecko, które włamało się do szafy matki.

Nie wiem nawet, jak ma na imię. Żałuję, że nie zapytałam, kiedy spotkałam ją w poczekalni. Powinnam była to zrobić.

Rozprasza mnie kolejne danie. Tym razem lokaj podtyka mi pod nos łososia.

Do jadalni wraca pani Violet i dyga przed Wybranką.

– Proszę o wybaczenie, Wasza Wysokość.

– Och, nie ma potrzeby. To było dość ekscytujące – mówi Władczyni. – W porównaniu z twoim przyjęciem, kolacje w Królewskim Pałacu są zwyczajnie nudne.

Nabieram łososia na widelec, unoszę go do ust i odkładam na talerz. I tak raz po raz. To nie jest wbrew regułom, bo nie zjadłam jeszcze ani kęsa. Ale Hrabina wierci się na krześle. I dobrze. Zauważyła.

Violet spogląda na swoją panią z wyrazem lekkiego zniecierpliwienia. Kiedy wreszcie wkładam do ust nieszczęsnego łososia, znów zastanawiam się, jakie instrukcje dostała.

Nagle moja przyjaciółka rozjaśnia się na widok czegoś, co pojawia się za moimi plecami. Obracam się i widzę, że do pokoju wchodzi kolejna dwórka. Mężczyzna jest młodszy od Fredericka ale starszy od Emile'a. Mina Violet podpowiada mi, że to właśnie on przygotowywał ją do Aukcji.

– Dziękuję ci, Lucienie – mówi Władczyni. – Zaczekaj tutaj.

– Oczywiście, moja pani. – Stawia na stole srebrną miseczkę, a obok kładzie orzech włoski, po czym staje pod ścianą. Wstrzymuję oddech, patrząc to na orzech, to na rudowłosą dziewczynę.

Mam nadzieję, że Wybranka nie każde jej zrobić tego, o czym

myślę.

– Pokazała mi wcześniej niesamowitą sztuczkę – oznajmia władczyni i obraca się do surogatki. – Na co czekasz?

Wargi dziewczyny drżą, gdy podnosi orzech.

Nie rób tego, zaklinam ją w myślach. Nie dawaj jej tego, czego chce.

Nic się nie dzieje i przez chwilę wydaje mi się, że może dziewczyna usłyszała jakimś cudem moje myśli. A potem oczy Wybranki zwężają się w szparki i już rozumiem. Rudowłosa nie stawia świadomego oporu. Po prostu jest przerażona.

– No dalej – ponagla ją władczyni i nagle wyobrażam sobie tę drobniutką dziewczynę, jeszcze dziecko, w klatce i z ostrym szpikulcem wbitym w stopę. Wsuwam dłonie pod stół i z całych sił zaciskam kciuki, życząc jej, by, cokolwiek robi, zrobiła to perfekcyjnie.

Palce rudowłosej zaciskają się na orzechu, a gdy znowu je rozwiera, orzech jest częściowo przejrzysty, jak brązowe szkło.

A więc chodzi o drugą Augurię. O Kształt.

Dziewczyna marszczy brwi, koncentrując się na tym, co robi. Orzech zaczyna falować, kurczyć się i rozciągać, przybierając narzucany mu kształt. Kiedy rudowłosa unosi maleńką, niesamowicie szczegółową figurkę Wybranki, autentycznie opada mi szczęka. To musiało być ogromnie trudne. I strasznie bolesne.

Nagle dziewczyna wydaje z siebie cichy okrzyk, upuszcza statuetkę, chwytą miskę i zaczyna wymiotować.

Jakby już samo to nie było wystarczająco okropne, arystokratki zaczynają klaskać.

– Cudowne, prawda? – rzuca pogodnym tonem władczyni. Jej dwórka podchodzi, by zabrać miskę i orzechową figurkę. Gdy klęka, zauważam, że podaje dziewczynie chusteczkę, by otarła krew z nosa i ust.

Violet mówiła, że jest miły. Chyba naprawdę jest.

– To wszystko, Lucienie – oznajmia Wybranka.

– Tak, moja pani.

Kiedy odwraca się, spogląda na Violet i mam wrażenie, że na jego wargach pojawia się cień uśmiechu. Po cichu żałuję, że nie pracuje

dla Domu Kamienia.

– Imponujący pokaz – zauważa gospodyni, krojąc łososia. – Na twoim miejscu, pani, trzymałabym najlepszą pościel z dala od tej dziewczyny.

– Och, nie zawsze tak krwawi – odpowiada niefrasobliwie władczyni.

Pani Violet ociera usta serwetką.

– Może powinnaś rozgrzać swoją surogatkę, pani, nim zaczniesz zmuszać ją do biegu.

Z wielkim trudem zachowuję spokój, bo mam ochotę nawrzeszczyć na te baby. Zachowują się, jakby nie miały pojęcia, co to właściwie znaczy być istotą ludzką.

Może i nie mam ich bogactw, ich mocy, ich sławy. Może i muszę grać wedle ich zasad. Ale czegokolwiek by nie uczyniły, nie odbiorą mi samej siebie. Nie pomniejszą mnie.

Jestem osobą. Jestem Raven Stirling.

A one są potworami.

– Będę o tym pamiętać – mówi Wybranka, poklepując surogatkę po głowie, jakby ta była psem.

– Ma jakieś ciekawe umiejętności? – dopytuje gospodyni. – Bywa z tym różnie, a ja wolę surogatki, które przejawiają jakieś talenty. – Upija łyk wina. – Moja gra na wiolonczeli.

Gapię się ponuro na tę kobietę, czekając, aż zażyczy sobie instrumentu i zmusi Violet do zagrania koncertu w tym jakże zacnym towarzystwie. Muzyka Violet jest piękna, osobista i należy tylko do niej. A nie do tych kobiet.

– Och, wiolonczela? Miło byłoby zobaczyć jakiś niewielki pokaz – oznajmia Wybranka. Violet, skamieniała, spogląda na drzwi. Zapewne myśli to samo, co ja.

Ale wiolonczela się nie pojawia, a gospodyni tylko lekko się uśmiecha.

– Wasza Wysokość, jestem pewna, że będzie jakaś okazja.

Choć to, że Violet nie będzie występować jak tresowana małpka, obydwie witamy z uczuciem ulgi, to jednak jakaś część mnie czuje się zawiedziona. Gdyby Violet zagrała, poczułabym się lepiej.

Poczułabym się jak w domu.

Do oczu napływają mi łzy. Mrugam nerwowo, żeby się ich pozbyć. To nie czas na płacz.

Szlachetne damy rozprawiają o naszych talentach. Okazuje się, że Blondyna jest tancerką. Panna Zabiję Cię nie jest wybitnie utalentowana w żadnej dziedzinie, za to Hrabina Kamienia nie może się nachwalić mojej znajomości matematyki. Zupełnie jakby wiedziała o mnie coś poza tym, że nie lubię bólu i mam wybuchowy temperament. Kobiety rozmawiają o nas, jakby nas tu nie było, jakbyśmy nie istnieli.

Pod koniec kolacji nie mam już sił być wściekła. Jestem na to zbyt wyczerpana.

Arystokratki zegnają się cmoknięciami w policzek, a dwórki przynoszą im płaszcze. Serce ucieka mi do pięt, gdy znów widzę Fredericka. Koncentruję się na Violet, zaklinając w duchu, żeby zakaz wnoszenia akcesoriów potrwał jeszcze przez chwilę i żeby przyjaciółka nie widziała mnie w kajdanach i opasce na oczach.

Na pewno znów się zobaczymy. Obydwie jesteśmy w Domach Założycieli. Spotkamy się jeszcze. Niedługo.

Myślę, że uśmiecha się do mnie oczami.

Gdy tylko wracam do foyer, Frederick przynosi łańcuchy.

Inne surogatki również są na smyczach, ale żadna inna nie ma opaski i kajdan.

Udaje mi się spostrzec pojazd, którym tu przyjechaliśmy. To smukły, czarny automobil. Dotychczas widywałam takie tylko w kolorowych magazynach i przyznam, że robi wrażenie.

Znów krążymy, a potem po raz kolejny trafiam do Pałacu Kamienia, pałacu, którego wciąż jeszcze nie widziałam.

Korytarze. Schody. Wyczuwam zapach lochu, nim jeszcze do niego wchodzimy, powietrze staje się nieruchome i zatęchłe. Wreszcie opaska znika, a wraz z nią obroża i kajdany. Znów jestem zmuszona wejść do złotej klatki.

Mam ochotę zwyzywać Fredericka, ale on opuszcza pomieszczenie, nim zdążę wziąć głęboki oddech.

Strasznie chce mi się pić, ale w klatce jest jedynie ta miska z wodą.

Trudno. Z westchnieniem wyciągam dłoń, by ją podnieść.

Nie mogę.

Ciągnę i ciągnę, ale naczynie musi być przymocowane do podłogi.

Zaciskam zęby, powstrzymuję łzy i pochylam się nad miską, by pić z niej jak zwierzę.

Rozdział 5

Budzą mnie zgrzyt zawiasów i tępy ból w szyi.

Musiałam spać w jakiejś dziwnej pozycji, choć nie mam pewności, czy na kamiennej posadzce można w ogóle przybrać jakąkolwiek sensowną.

– Dzień dobry – mówi Emile. Siadam i przecieram oczy, rozmazując wczorajszy makijaż. Spoglądam po sobie. Wciąż jestem ubrana w suknię, teraz brudną i pomiętą.

Dobrze, myślę, mocniej trąc oczy i rozmazując cień do powiek i tusz na policzkach.

– Nie martw się suknią – radzi Emile. – Każdą będziesz miała na sobie tylko raz.

– Nie martwię się – odpowiadam.

Mój wzrok przyciągają jego dłonie. A raczej to, co w nich trzyma. Patrząc na srebrną tacę z pasującą do niej pokrywą. Czyżby jedzenie? W brzuchu mi burczy. Emile słyszy ten dźwięk.

– Tak, domyślam się, że nie zjadłaś za wiele w trakcie kolacji u Diuszesy Jeziora.

Gdzieś tam notuję sobie, że panią Violet jest Diuszesa Jeziora, ale tak naprawdę interesuje mnie tylko to, co skrywa się pod srebrną pokrywą. Emile otwiera górną część drzwiczek klatki i podaje mi tacę. Łapię ją, zbyt głodna, by czuć zawstydzenie, i odrzucam pokrywę, która z łomotem uderza w pręty i toczy się po posadzce.

Zaskoczona, gapię się na zawartość tacy. Trzy ziarnka grochu, jeden kawałek jabłka, miska czystego bulionu i pół cebulowej bułki.

Życzyłabym sobie być wściekła, ale mój żołądek ma w tej chwili więcej do powiedzenia niż mózg i namawia mnie, żebym po prostu wpakowała do ust zawartość tej tacy. Zaczynam od bułki. Jest gorąca, świeża i przyjemnie cebulowa. Potem wypijam rosół, nieco za słony i niezbyt esencjonalny. Na koniec zjadam słodkie, chrupiące jabłko.

Groszek zostawiam. Trzy zielone kulki kojarzą mi się z zasadami, które wczoraj przedstawiła mi Hrabina. Walić Hrabinę i jej zasady!

Emile patrzy na mnie z twarzą bez wyrazu, póki nie ocieram ust

wierzchem dłoni i nie oznajmiam, że skończyłam.

– Nie skończyłaś – mówi.

– Owszem, skończyłam.

Zaciska lekko usta.

– Nie poprawiasz swojej sytuacji.

Parskam szczekliwym śmiechem.

– Na wypadek gdybyś nie zauważył, Emile’u, to siedzę w klatce. Odebrano mnie mojej rodzinie, gdy miałam dwanaście lat i zmuszono mnie, żebym cierpiała ból, żebym krwawiła i rzygała jak kot, żeby kiedyś urodzić dziecko jakiejś nieznanym kobiecie. A teraz jestem tutaj i kompletny psychol dziabnął mnie w nogę. A potem drugi psychol, tym razem płci żeńskiej, groził, że wyrwie mi język. Więc, przyjmij do wiadomości, że moja sytuacja już od jakiegoś czasu nie jest różowa.

To nie do końca prawda. Moje życie w Bramie Południowej wydaje się teraz pięknym snem.

Rysy twarzy Emile’a twardnieją.

– Wszyscy cierpieliśmy, 192. Pod tym względem nie jesteś wyjątkowa.

Odwraca się i rusza do drzwi lochu. Kiedy je otwiera, do środka wchodzi czterech Gwardzistów, którzy otaczają moją klatkę. Cofam się tak daleko, jak tylko mogę, aż pręty wbijają mi się w plecy i ramiona. Emile zdejmuje ze ściany jeden z przyrządów, długi drąg zakończony okręgiem. Otwiera drzwiczki klatki. Patrzą to na niego, to na Gwardzistów, to znów na wyjście.

– Miałem nadzieję, że to nie będzie potrzebne – oznajmia Emile. – Myliłem się.

Mam wrażenie, że w jego niebieskich oczach dostrzegam żal, że patrzy na mnie przepraszająco. Nienawidzę go za to.

Nagle wsuwa drąg do klatki, a okrąg na końcu rozwiera się na ułamek sekundy i zaciska na mojej szyi. Chwytam za pałąk, usiłując wyrwać się dwórcę, ale Emile jest silniejszy, niż na to wygląda. Ciągnie raz za razem i wywleka mnie powoli z klatki, a zimny metal wbija mi się w szyję. Gdy tylko moja głowa i ramiona znajdują się na zewnątrz, dwóch gwardzistów chwyta mnie pod pachami i stawia na

nogi. Prowadzą mnie do ściany z oknem, na której, na wysokości bioder zamontowano łańcuchy z okowami. Usiłuję ich kopnąć. Usiłuję kopnąć Emile'a. Usiłuję zrobić cokolwiek, ale jest ich zbyt wielu i po chwili moja głowa odchyła się pod dziwnym kątem. Założywszy mi kajdany, mężczyźni puszczają mnie, a zaciskający się na mojej szyi metal znika. Emile wiesza pręt na ścianie, obok tego z kolcem wciąż brudnym od mojej krwi.

– Puśćcie mnie – krzyczę.

Mocujący mnie do ściany łańcuch ma jakieś trzy stopy, nie mam więc wielkiego zakresu ruchu. Miotam się w więzach, starając się wyrwać, aż kajdany rozcinają mi skórę.

Najgorsze jest to, że wszyscy po prostu patrzą. Wrzeszczę, przeklinam i walczę, a Emile i czterech Gwardzistów oglądają to z pewnej odległości z obojętnymi minami. Wreszcie się poddają. Dopiero, gdy czuję w ustach słony smak, dociera do mnie, że płaczę. Stoję więc nieruchomo, oklapła i pusta w środku. I czekam. Czekam, bo wiem, że za chwilę coś się stanie. Po kolei patrzę każdemu z mężczyzn w oczy. Nie chcę, by myśleli, że udało im się mnie złamać.

Emile odczekuje dłuższą chwilę, prawdopodobnie chcąc upewnić się, że nie zacznę się znów szarpać.

– Nie ruszaj się – mówi – bo będę musiał zawołać Fredericka. – Podchodzi na tyle blisko, że czuję zapach jego skóry, kwiatowy i kobiecy. – Nie chcesz, żeby Frederick tu przyszedł – szepce Emile. – Wierz mi, nie chcesz.

Wspomnienie krwawoczerwonych dziąseł Fredericka i jego łzawiących oczu wystarczy, żebym niczego nie próbowała.

Emile pochyla się ku mnie.

– Chciałbym – zaczyna, ale cokolwiek miał zamiar powiedzieć, nie ma okazji, bo drzwi pomieszczenia się otwierają i do środka wchodzi Hrabina.

Tym razem ma na sobie ciasną satynową kreację z wzorem kwiatów wiśni. Wygląda idiotycznie. Tego typu kreacja o wiele lepiej pasowałaby do kogoś w stylu Lily albo tej młodziutkiej dziewczyny, którą kupiła Wybranka.

Hrabina spogląda na klatkę i na wciąż leżący na tacy groszek.

– Kazałam ci to nakarmić – mówi do Emile’a.

– I tak zrobiłem, moja pani.

Kobieta wzdycha.

– Moja matka zawsze powtarzała – mamrocze – że jeśli chcesz, żeby coś zostało należycie zrobione, to musisz zrobić to sama.

Na jej lekkie skinienie głowy jeden z Gwardzistów łapie mnie za włosy, gwałtownie odgina mi głowę do tyłu i przemocą otwiera usta. Widzę tylko sufit. Słyszę uderzenie metalu o metal, ciche szurnięcie i w moich ustach ląduje groszek. Chcę go wypluć, ale Hrabina zakrywa mi usta i nos wielką i mokrą od potu dłonią. Nie mam wyjścia, muszę przełknąć.

– Będziesz jadła to, co ci każę, czy to jasne? – pyta, kiedy Gwardzista puszcza moje włosy.

Gapię się na nią z nienawiścią. Hrabina rzuca spojrzenie na jednego z Gwardzistów i kątem oka dostrzegam błysk metalu w dłoni mężczyzny.

To... nożyczki.

Gwardzista przykłęka i odcina od mojej sukni pas materiału. Od stóp aż do uda. Czarny materiał spada na ziemię i zwija się niczym wężowa skóra.

– Będziesz jadła to, co ci każę, czy to jasne? – powtarza Hrabina.

Nie mogę wydusić z siebie słowa.

Ciach, ciach, ciach.

Gwardzista odcina kolejny kawał mojej sukni. Właściwie cała moja noga jest naga.

– Tak – wyduszam z siebie. Mam gęsią skórkę.

– Co tak? – dopytuje Hrabina z paskudnym uśmiechem.

– Zjem wszystko, co mi każesz.

Kątem oka widzę, jak Emile przygryza dolną wargę.

– Dobrze. – Hrabina odwraca się do zebranych mężczyzn. – Wyjdźcie.

Może i mam pewne problemy z Emile’em, ale to nie znaczy, że chcę zostać sama z tą kobietą!

Kiedy wychodzi, mam ochotę za nim zawołać, coś jednak podpowiada mi, że jeśli chcę jeszcze kiedyś go zobaczyć, to Hrabina

nie może się dowiedzieć, że mi na tym zależy. Zaciskam więc zęby, przełykam ślinę i zmuszam się, by spojrzeć jej w oczy.

Hrabina podchodzi do ściany i dotyka po kolei każdego z wiszących na niej przedmiotów, jakby je pieściła. Przesuwa palcami po każdym oczku łańcucha, po wszystkich prętach... Kiedy jej spojrzenie pada na hełm, przyciska dłonie do piersi, jakby właśnie dostała najpiękniejszy podarunek w życiu.

– Och, Fredericku – mruczy. – Przeszedłeś samego siebie.

Rusza w moim kierunku, marszcząc nos. Może nie podoba się jej, jak pachnę po nocy przespanej na kamiennej podłodze, a może nie zachwycają jej mój rozmazany makijaż i pognieciona, pocięta suknia. Staje tak blisko mnie, że mogę dostrzec każdą fałdę jej tłustego ciała. Palce ma jak kielbaski, ramiona blade i zwiotczałe, a na szyi okazałych rozmiarów wole.

– Urodzisz moje dziecko – oznajmia.

Rozdymam nozdrza i patrzę na nią morderczym wzrokiem. To wszystko, co mogę zrobić.

Na jej wargi wypływa uśmiech, który sprawia, że w policzkach uwidaczniają się dołeczki. Co za parodia słodczy.

– W trakcie Aukcji trudno ocenić, jaka okaże się surogatka. Kilka ostatnich lat było pasmem rozczarowań. Ale kiedy zobaczyłam ciebie, wiedziałam, że na to właśnie czekałam. Wczorajsza kolacja tylko to potwierdziła. Mam nadzieję, że rozumiesz już, jak poważnie traktuję zasady.

– Zjadłam tylko trzy kęsy – przypominam.

Uśmiecha się złośliwie.

– Owszem, zgadza się. Być może zauważyłaś zresztą, że nadal posiadasz język? Ale... Nie, twoje zachowanie niespecjalnie przypadło mi do gustu. Nie podobał ci się ten ciepły prysznic? Nie chciałabyś go powtórzyć? Nie chciałabyś spać na miękkim łóżku?

Nie odpowiadam, bo nie chcę przyznać, że, owszem, chciałabym.

W oczach Hrabiny pojawia się błysk, który sprawia, że żołądek kurczowo mi się zaciska. Kobieta przygląda mi się dokładnie, stanowczo zbyt wielką uwagę poświęcając mojemu brzuchowi.

– Jesteś taka szczupła – mówi wreszcie. – Ale myślę, że możemy

cię trochę odchudzić. Moja matka powtarzała, że jeśli osiąga się coś bez wysiłku, to nie jest to żadne osiągnięcie.

Nagle Hrabina łapie mnie za twarz swoją wielką łapą tak mocno, że ściśnięte policzki wbijają mi się w zęby. Drugą dłonią odchyła moje czoło, zmuszając mnie do otwarcia ust. Nie wiem, co chce w nich znaleźć, ale wykorzystuję sytuację. Z całą siłą, na jaką mnie stać, obracam głowę i wgryzam się w kciuk Hrabiny.

Kobieta wydaje z siebie wściekły wrzask. Czuję przyływ ponurej satysfakcji, a potem uderzam potylicą w ścianę. Czuję smak krwi, a przed oczyma eksplodują mi gwiazdy.

– Fredericku! – krzyczy Hrabina.

Drzwi otwierają się gwałtownie i do pomieszczenia wpada dwórka.

– Moja pani, co się stało?

– To mnie ugryzło, Fredericku – oznajmia kobieta, wydymając usta jak mała dziewczynka... Ale coś w jej oczach podpowiada mi, że bawi ją ta sytuacja. Nie podoba mi się to. Cmokając z niezadowoleniem, dwórka ogląda jej dłoń.

– Bez obaw, moja pani – mówi Frederick, wyciągając buteleczkę z tą samą substancją, którą Emile potraktował moją stopę, i nakłada kroplę na ranę Hrabiny. Rozcięcie znika, a mężczyzna całuje pulchną dłoń. – I już po wszystkim.

– Dziękuję, kochany – ćwierka Hrabina.

– Czy powinniśmy wymierzyć karę? – dopytuje Frederick.

Splatom ramiona na piersi, jakby mogło mnie to w jakiś sposób ochronić. Łańcuchy dzwonią, szarpnięte kajdanami.

Hrabina udaje, że zastanawia się nad tym pytaniem, ale, na szczęście, do lochu wpada nagle Emile.

– Pani, otrzymałem właśnie pilną wiadomość – oznajmia. – Jej Wysokość wzywa cię do Królewskiego Pałacu.

Przez twarz Hrabiny przebiega grymas irytacji. Kobieta z żalem spogląda na narzędzia tortur, po czym wzdycha ciężko.

– Co za kretynka – mamrocze pod nosem. – Fredericku, przygotuj samochód i wyślij do moich komnat Williama i Bernarda. Chcę coś w rodowych barwach. – Przygląda mi się przez długą chwilę. – I powiedz lekarzowi, żeby był gotowy, kiedy wrócę.

Na słowo „lekarz” wstrząsa mną dreszcz.

Frederick zdążył już wybiec, ale Hrabina przystaje przy drzwiach.

– Ma zostać tutaj, Emile’u – mówi ostrzegawczo.

Emile kłania się.

– Oczywiście, moja pani.

Gdy Hrabina znika wreszcie, dociera do mnie, że cała się trzęsę i to tak bardzo, że szczękają mi zęby i ledwie widzę na oczy. Opieram się ciężko o ścianę i osuwam się na zimną podłogę. Boli mnie głowa, a w ustach wciąż mam metaliczny smak krwi.

Nagle czuję kwiatowy zapach Emile’a. Mężczyzna delikatnie ociera mi krew z twarzy.

– Nie mogę przynieść ci koca, czystych ubrać, ani jedzenia – mówi łagodnie. – Ale mogę na jakiś czas służyć poduszką.

Gwałtownie kiwam głową i nadal to robię, kiedy delikatnie kładzie dłonie na moich ramionach. Układa mnie ostrożnie na podłodze, aż moja głowa dotyka czegoś miękkiego. Jego ud.

Emile ostrożnie odgarnia mi włosy z twarzy i nagle przypominam sobie pierwszą noc Violet w Southgate. Cały dzień próbowała nadać głupiej kostce odcień żółci. Słyszałam jej płacz, wślizgnęłam się więc do jej pokoju i kołysałam ją w ramionach, a ona opowiadała mi o Hazel, Ochre’em, o swoim ojcu i o tym, że jej mama straciła kolejną bliską jej osobę, i że Violet tak strasznie chciałaby wrócić do domu.

Nigdy nie sądziłam, że spojrzę wstecz, na Bramę Południową i pomyślę o Magazynie jak o domu. A jednak teraz chciałabym tam uciec.

Leżę na zimnej posadzce i staram się przywołać każdą miłą chwilę, każde wspomnienie o przyjaciółce. Wracam pamięcią do tego, jak grała na wiolonczeli. Jak śmiesznie wyglądała, gdy wgrzyła się w cytrynę, choć mówiłam jej, żeby tego nie robiła. Jak błagała, żebym zagrała z nią i z Lily w Halmę, bo, choć nigdy by się do tego nie przyznała, czasem po prostu uwielbiała wygrywać. Jak czesała przed snem włosy. Jak razem się śmiałyśmy.

Tak strasznie chciałabym, żeby tu była. Wiedziałyby, co powiedzieć, żebym lepiej się poczuła. Chciałabym opowiedzieć jej o tym koszmarnym miejscu. Może wtedy przytuliłaby mnie i

powiedziałyby, że wszystko będzie dobrze. Nawet gdyby to nie miało sensu.

– Co się ze mną stanie? – pytam szeptem.

Nie spodziewam się odpowiedzi. Emile milczy.

Rozdział 6

Musiałam zapaść w sen, bo gdy otwieram oczy, Emile'a nie ma.

Światło w lochu jest inne. Mroczniejsze. Bogatsze. Myślę, że nastąpiło popołudnie. Siadam powoli, bo jestem obolała. W brzuchu mi burczy. Podciągam kolana do piersi.

I czekam.

Nie słyszę niczego poza rozlegającym się od czasu do czasu trelem ptaków i bzyczeniem owadów. Stłumione przez gruby mur dźwięki są cichutkie. Może tylko je sobie wyobrażam.

Bardzo dokładnie oglądam pętające mnie łańcuchy, ogniwo po ogniwie. Sprawdzam, jak umocowane są do ściany. Badam zapięcie kajdan. Szukam jakiegoś słabego punktu, ale żadnego nie ma. W przeciwieństwie do wiszących na ścianie narzędzi, moje okowy są stare. Ale utrzymane w świetnym ścianie. Ciekawe ile surogatek przede mną zostało przypiętych do tej ściany.

Błąd. Nie powinnam o tym myśleć, bo tylko mi od tego gorzej, tylko mocniej mnie mdli. Zresztą, czy to w ogóle ważne? Teraz to ja jestem w tym lochu.

Kiedy nie mogę już dłużej znieść ciszy, nucę pod nosem tę głupią piosenkę z Bagna, którą śpiewała Lily, gdy jechałyśmy na Aukcję.

Dziewczęta miłe, dobre dziewczęta

Ostrożnie dzielcie serca swe

Śpiewam ją całą, zwrotka po zwrotce, wymyślając słowa, których zapomniałam. A potem śpiewam ją od początku. I jeszcze raz.

Jestem w trakcie czternastej powtórki, gdy otwierają się drzwi. Natychmiast milknę i cała się spinam.

Do pomieszczenia wkracza Frederick w asyście czterech mężczyzn. Jeszcze bardziej zwijam się w sobie.

Dwórka ma w dłoniach płachtę materiału, na widok której czuję przyływ nadziei.

Błagam, myślę, niech to będzie dla mnie.

– Wstań – komenderuje. Natychmiast wypełniam polecenie. – Jeśli spróbujesz z nami walczyć albo uciec, nie dostaniesz tego.

Unosi tkaninę i rozwija ją. To szlafrok. Krótco kiwam głową.

Dwóch służących podchodzi do mnie i rozpina kajdany. Mam strasznie poranione nadgarstki, wcześniej tego nie zauważyłam.

– Zdejmijcie z niej suknię – rozkazuje Frederick. Staram się zachować milczenie, choć na usta ciśnie mi się jęk protestu. Dwórka uśmiecha się, gdy któryś z mężczyzn rozpina suwak na plecach, nim jednak zdążą mnie obnażyć do końca, sięgam po szlafrok.

Zabieram go pospiesznie, bojąc się, że to może być tylko kolejna sztuczka, kolejna tortura Fredericka. Natychmiast otulam się ciasno tkaniną, ciesząc się, że jest ciepła i osłania mnie przed wzrokiem obcych. Od razu czuję się silniejsza. Znow jestem sobą.

Jestem tak zaabsorbowana szlafrokiem, że nie zauważam smyczy, póki obroża nie zapina się na mojej szyi.

To straszne, ale nie mam sił walczyć. A nawet gdybym miała, nie wiem, czy ryzykowałabym odebranie mi okrycia.

– Chodź – mówi Frederick, pociągając za smycz, jakbym była psem. Wychodzimy z lochu, eskortowani przez służących, dwóch z przodu i dwóch za nami. Zaciskam kciuki, błagając w duchu, żebyśmy szli do tego pięknego pokoju, w którym byłam wczoraj. Pamiętam to cudowne łóżko, miękkie i zapraszające.

Wchodzimy gdzieś wyżej, a potem skręcamy w korytarz, którego wcześniej nie widziałam. Nie, żebym miała okazję rozeznać się w tym Pałacu. Na ścianach wiszą lustra najróżniejszych kształtów i rozmiarów, niektóre maleńkie jak znaczek pocztowy, inne wysokie aż do sufitu. Pomiędzy nimi stoją bukiety kwiatów, irysów, róż, hortensji, słoneczników i stokrotek. Wydają mi się zupełnie nie na miejscu. Są zbyt radosne w tym złym, paskudnym pałacu. W pewnym momencie w jednym z lusterek dostrzegam swoje odbicie. Wyglądam na tak małą, słabą i przerażoną, jak się czuję. Zalewa mnie ulga, gdy zostawiamy ten korytarz za sobą i wspinamy się na kolejne schody. Niebawem docieramy do drzwi z jasnego drewna. Frederick otwiera je, a służący zostają na straży.

Dwórka wprowadza mnie do komnaty, ciągnąc mocniej za smycz, co wcale nie jest potrzebne.

To pokój medyczny.

Do ust napływa mi gorzka ślina, a mięśnie ud drgają.

Nie. To za szybko. Za szybko.

To najpiękniejszy gabinet, jaki w życiu widziałam. O wiele ładniejszy niż malutka klinika, w której mnie zdiagnozowano, przyjemniejszy nawet niż schludny pokój w Bramie Południowej. Właściwie to przypomina mi tę elegancką sypialnię, w której byłam wczoraj. Kozetka jest miękka, obita białym aksamitem i zdobiona złotem. Wygląda bardziej jak szezlong. Z sufitu zwisają pięknie zdobione lampy z kulami świetlnymi, które zalewają pomieszczenie ciepłym światłem. Ściany mają miły, brzoskwiniowy kolor i wiszą na nich obrazy podobne do tych, które znam z dormitorii w Magazynie. Plamy kolorów, krajobrazy, wszystko w lekko przygaszonych barwach. W jednym z rogów gabinetu stoi wielki fotel z dopasowanym do niego podnóżkiem, a także mahoniowy stolik i skórzana sofa. To wszystko wygląda jak laboratorium szalonego naukowca, który ma fioła na tle architektury wewnątrz.

Ale jest tu również wózek ze srebrnymi narzędziami. Stoi koło łóżka.

Jednak to nie on przykuwa moją uwagę, tylko okna. W pomieszczeniu są dwa – wielkie i łukowate z odciągniętymi, białymi storami. Po raz pierwszy mogę dostrzec, co kryje się za ścianami tego pałacu. Widok jest tak piękny, że chce mi się płakać.

Na zewnętrznej ścianie musi być treliarz z pnącymi różami. Widzę ich liście, zielone i takie żywe. Wspinają się po ramach okien. Tu i ówdzie ocalał jeszcze jakiś kwitnący późno kwiat. Dalej dostrzegam coś, co musi być kawałkiem oszałamiającego ogrodu, wielopiętrową fontannę, drewnianą ławkę, kilka drzew o obszernych koronach oraz ginącą gdzieś poza zasięgiem mojego wzroku ścieżkę. A za tym wszystkim, w oddali, jest wielki, zakończony ostrymi kolcami mur, taki sam, jak ten, który widziałam z okna lochu. Najpewniej otacza całą posiadłość.

Wreszcie mogę zobaczyć słońce. Nie dosłownie oczywiście, wiem jednak, gdzie jest. Nieco na lewo. Jego bogaty złoty blask przesącza się przez drzewa, oświetlając fontannę i ścieżkę. Nie mogę uwierzyć, że kiedyś brałam słoneczne światło za coś oczywistego.

Czuję kolejne pociągnięcie za smycz.

Przysięgam, że dopilnuję, żeby któregoś dnia Frederick poczuł, jak to jest mieć na szyi obrozę.

– Połóż się – komenderuje, wskazując łóżko.

Zaciskam zęby, wspinam się na leżankę i... Oj. Nie mogę dłużej być wściekła, bo łóżko okazuje się cudownie wygodne i ciepłe. Moje obolałe nogi, równie obolałe plecy i nie mniej obolała głowa niemal się w nim rozplývają. To jest lepsze niż magiczny krem Emile'a.

Czuję, jak moje ciało się rozluźnia, a oczy przymykają i wtedy słyszę serię trzasków. Po obydwu stronach łóżka wyskakują pasy i zapinają się nade mną, na wysokości mojego czoła, mojej piersi i talii. Tylko nogi mam wolne.... Przez chwilę, bo nagle podskakują w górę, kiedy z krawędzi łóżka wysuwają się strzemiona i pętają moje stopy. Poła szlafroka opada na łóżko, odsłaniając moje udo i jeden z pośladków.

Zamykam oczy i przełykam ślinę. Nie wiem, czy chcę krzyczeć czy zwymiotować, czy jedno i drugie.

Jestem Raven Stirling, szepczę do siebie w duchu. Nie złamię mnie.

Teraz jednak te słowa brzmią dziwnie słabo.

Zmuszam się, by rozewrzeć powieki i patrzę przez okno. Na parapecie przysiada ptak. Dookoła oczu ma jasnożółte pióra. Przekrzywia główkę, jakby mi się przyglądał. A potem odlatuje.

Nigdy wcześniej nikomu tak nie zazdrościłam.

Nagle otwierają się drzwi.

Frederick, który do tej pory przeglądał jakieś papiery przy biurku, zgina się w ukłonie, gdy druga na mojej liście najbardziej znienawidzonych (albo pierwsza, trudno mi zdecydować) osoba wchodzi do pomieszczenia.

Ale Hrabina nie jest sama. Oczywiście, że nie. W końcu to pokój medyczny.

– Wasza miłość – mówi Frederick. – Doktorze Falme.

Lekarz ma na sobie standardowy biały kitel i beżowe spodnie. Nie przypomina jednak żadnego z doktorów, których do tej pory widziałam, ani tych zrzedliwych staruszków wykopanych do Bagna, by diagnozowali surogatki, ani uzależnionych od opiatów typów w rodzaju

doktora Steele'a, którzy pracują w Magazynach.

Nie chodzi tylko o to, że na pierwszy rzut oka, mogłoby nas łączyć pokrewieństwo, bo mężczyzna ma taki sam odcień skóry jak ja, identyczne oczy i równie czarne włosy. Chodzi o to, że jest młody. Sądzę, że nie ma jeszcze trzydziestki. I jest niesamowicie przystojny.

Nie mam na myśli tego typu urody, jak u syna Diuszesy Jeziora, którego widziałam na kolacji. Jakkolwiek nie brzmiałoby jego imię. Tamten był tak idealny, że wydawał się wręcz nierzeczywisty. I w jakiś sposób pusty, co współgrało zapewne z jego nieistniejącą osobowością.

Doktor jest mniej więcej mojego wzrostu, ma długie, kręcone włosy muskające szczękę, a kiedy uśmiecha się do Fredericka, w jego policzkach pojawiają się dołeczki. Kiedy obraca się w moją stronę, myślę, że ten jego piękny uśmiech wcale nie jest taki czarujący, jak mi się wydawało.

– A więc – mówi – to jest numer 192.

Bezskutecznie próbuję uwolnić ramiona.

– Jestem Raven Stirling, ty gno...

Nie dają mi szans wyartykułować przekleństwa. Mam wrażenie, jakby ktoś raził mnie prądem. Ból wybucha mi w czole, oszałamiający, upiorny. Oczy zachodzą mi łzami. A potem nagle ból znika. Jakby nigdy go nie było.

– To nie uczy się zbyt szybko – oznajmia Hrabina. Moje ciało drży w ostatniej konwulsji i opada na łóżko. – Ale jest bezczelne i ma wielką wolę walki.

– Ach, przecież tego właśnie szukaliśmy, nieprawdaż, moja pani?

Nagle łóżko przechyla się do tyłu mniej więcej pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Już nie widzę okien. Moje rozwarte nogi sterczą w powietrzu i każdy w tym pokoju może na mnie patrzeć.

Nie, żeby ktokolwiek zwracał uwagę na moje ciało – ani Gwardziści, ani służący, ani Frederick, ani ten piękny, przerażający lekarz. Miejsce przeszywającego bólu zajmuje niepokój. Nie wiem, czy brak cierpienia nie jest bardziej przerażający niż ono samo.

– No więc – zaczyna doktor, podchodząc do mnie. Nie patrzy mi w oczy. – Od czego zaczynamy?

Wyciąga dłoń i z całej siły pragnę się odsunąć. Nie mogę. Palce mężczyzny obmacują moją głowę, ślizgają się między włosami. Dotyk jest miękki, ale zdecydowany, jakby lekarz czegoś szukał. Czego? Nie wiem.

– Tym razem nie przez usta – mówi Hrabina. Przegląda te same papiery, które wertował wcześniej Frederick.

– Oczywiście – mruczy pod nosem doktor. – Jesteś pewna, pani, że nie możemy ogolić jej głowy?

Przygryzam wnętrze policzka tak mocno, że niemal zaczyna krwawić. Nie wiem, skąd się wziął tamten piorunujący ból, ale nie chcę znów go czuć.

– Przecież wiesz, że nie możemy – odpowiada ze zniecierpliwieniem Hrabina. – Co powiedzieliby ludzie? Nie mogę mieć brzydkiej surogatki, nieważne, jak praktyczne by to było. A ta jest zbyt obiecująca, żebyśmy skrewili jak ostatnim razem. Po prostu musimy działać z większą precyzją. Wybranka musi na własne oczy ujrzeć rezultaty. Tylko w ten sposób utrzymamy nasz sojusz. Teraz, kiedy Dom Jeziora ma własną surogatkę, nie możemy zanadto ryzykować.

Ona mówi o Violet.

– Jak wspomniałem wcześniej, Wasza Miłość, doktor Blythe nie jest takim geniuszem, za jakiego się podaje.

– Doktor Blythe nie jest naszym problemem – oznajmia zimno Hrabina. – Naszym problemem jest surogatka. Wszystkie nasze poprzednie próby zawiodły, bo surogatki nie miały dość psychicznej odporności, żeby znieść procedurę. Ta ma. Jestem tego pewna.

– Co się... – nie spostrzegam nawet, że mówię, póki mojej czaszki znów nie przeszywa ból.

– Rzeczywiście niezbyt pojętna uczennica – zauważa z chichotem doktor.

On chichocze. Naprawdę chichocze.

Och, Violet, myślę. Mam nadzieję, że gdziekolwiek jesteś, nie doświadczasz tego samego.

Hrabina i doktor Falme rozgarniają mi włosy. Wzdrygam się, czując dotyk ich palców. Nie mam pojęcia, co robią i w jakim celu. Myślałam, że powinny ich interesować inne części mojego ciała.

Lekarz robi notatki, używając dziwnych określeń i liczb, które nic mi nie mówią.

– Piąty kwadrant, dwudziesta siódma linia. Jakies trzy cale?

Brzmi jakby pytał samego siebie. Za każdym razem.

– Możemy choć raz spróbować? – rzuca nagle Hrabina.

– Tak szybko?

– Chcę zobaczyć, jak zareaguje.

Lekarz uśmiecha się pobłaźliwie, a ja zaciskam usta. Nie wiem, na jaką reakcję liczy Hrabina, jestem jednak pewna, że zrobię wszystko, by nie dostała tego, czego pragnie.

Doktor sięga po jedną z wiszących lamp i ściąga ją niżej. Wygląda, jakby była na sprężynie. W środku klosza nie ma jednak świetlnej kuli, zamiast niej są złote haczyki. To nie lampa, to hełm. I zbliża się do mojej głowy.

Kiedy na nią opada, nie mogę niczego zrobić. Haczyki szczypią mnie, wbijając mi się w skórę.

– Gdzie zaczynamy, moja pani? – pyta doktor.

Hrabina namyśla się przez chwilę.

– Nie jest już dzieckiem... Może dziesiątka? Albo nie, siódemka. Tak. Siódemka brzmi świetnie.

Coś kłuje mnie w szyję i po trzech sekundach wcale nie czuję głowy. Jest zupełnie zdrętwiała. W sumie, to całkiem miłe, bo... Bo naprawdę nie chcę czuć niczego.

Słyszę bzyczenie, które przypomina mi wiertła dentystyczne używane w gabinecie stomatologa w Bramie Południowej. Właściwie każda dziewczyna, która trafiła do Magazynu, potrzebowała opieki dentysty. Ten dźwięk sprawia, że się spinam. Po skórze przebiega mi dreszcz, a wszystkie włoski na ciele stają dęba.

Bzyczenie staje się coraz głośniejsze, kiedy wiertło, czy cokolwiek to jest, zbliża się do mnie. Nie czuję ukłucia. Nie czuję niczego. Nagle po prostu... znikam.

Moja mama nuci, czesząc mi włosy. Nie mówię jej, jakie to przyjemne i jak bardzo na to czekałam, Zawsze była taka zajęta Sable i przygotowywaniem jej do roli surogatki. Dla mnie nie miała czasu. Ale testy Sable wypadły negatywnie.

Siedzę przed pękniętym lustrem w jej sypialni i patrzę na swoje odbicie. Mama uważa, że jestem ładna. Nie interesuje mnie to. Chcę skończyć pracę domową z matematyki. Ale to, że jestem ładna, uszczęśliwia mamę.

– I gotowe – mówi. – Uroczo, prawda?

Patrzę na nią w lustrze. Odpowiada spojrzeniem i uśmiecha się.

I jej twarz obłazi ze skóry.

Ktoś krzyczy. Nie powinien, mama nie cierpi hałasu.

Boli mnie w piersi i dociera do mnie, że to ja krzyczę.

Mama znikła. Jej sypialnia również. Wciąż jestem w pokoju medycznym.

Otwieram usta, a moja pierś wznosi się i opada ciężko. W gardle rośnie mi lepka klucha. Zmuszam się, by ją przełknąć.

To nie było prawdziwe, tłumaczę sobie. To się nie zdarzyło.

Ale nie mogę przestać się trząść. Nie mogę pozbyć się spod powiek tamtego przerażającego obrazu.

Pojedyncza łza spływa mi po policzku. Mrugam, by powstrzymać kolejne.

– Podoba mi się – oznajmia Hrabina.

– Mnie też – mruczy doktor.

– Violet – szepczę tak cicho, że żadne z nich mnie nie słyszy.

Potrzebuję Violet. Ona jedyna byłaby w stanie zrozumieć.

Kiedy doktor i Hrabina wychodzą, pasy przytrzymujące mnie na łóżku się odpinają.

Frederick znowu zakłada mi smycz, ale to znaczy, że przynajmniej wyjdę już z tego okropnego, pięknego pokoju. Z obawą unoszę ręce i dotykam głowy. Wyczuwam palcami małą bliznę, długości połowy paznokcia, jakieś cztery cale nad lewą skronią.

– Zabierz to – mówi Frederick do Emile'a.

Emile tu jest. Nie zauważyłam, kiedy wszedł, ale na myśl o tym, że to on, a nie Frederick, mnie stąd wyprowadzi, czuję ulgę tak wielką, że chce mi się płakać.

Chcę wrócić do mojej klatki. Nienawidzę się za to, ale tak właśnie jest. Nie rozumiem tego miejsca, nie rozumiem tego piękna wymieszanego z okrucieństwem. Wolę być w miejscu, w którym

rzeczy wyglądają na takie, jakimi są.

Ale Emile nie zabiera mnie do lochu. Idziemy wysoko, wysoko na górę, z powrotem do komnaty, na myśl o której zaczynam się denerwować, tej z miękkimi fotelami, wyrafinowanymi obrazami i łóżem z baldachimem.

– Tej nocy będę przy tobie – mówi Emile, zamykając za nami drzwi i zdejmując mi obrożę.

Opadam na stojący najbliżej mebel. To chyba niski stolik, ale nie jestem pewna.

– Co... Co się stało? – wyduszam z siebie i obejmuję głowę dłońmi, jakbym mogła w ten sposób pozbyć się z niej fałszywych wspomnień.

– Jeśli chcesz, możesz wziąć prysznic.

Patrzę na niego. Jego niebieskie oczy są szczerze, wyczuwam jednak, że to nie była prośba.

Kiwam krótko głową. Na trzęsących się nogach, brodząc w puszystym dywanie, ruszam w kierunku łazienki.

W pomieszczeniu nie ma drzwi. Szkoda, bo chciałabym nimi trzasnąć. Chciałabym choć na chwilę odciąć się od świata, zyskać choć namiastkę prywatności, odrobinę spokoju.

Klękam koło toalety i zwracam wszystko, co do tej pory zjadłam. Wymiotuję tak długo, aż boli mnie gardło i żołądek mam całkiem pusty. Przed oczyma raz po raz majaczy mi obdarta ze skóry twarz matki.

To nie było prawdziwe, powtarzam sobie. Również na głos. Emile nie przychodzi, czuję jednak jego obecność. Cieszę się, że zostawił mnie samą. To idiotyczne.

Zasypiam na zimnych kafelkach podłogi.

Rozdział 7

Budzę się w łóżku.

W wielkim, miękkim łożu z baldachimem. Jest tak wygodne, jak to sobie wyobrażałam, choć przypomina mi o piekielnej kozetce w pokoju medycznym.

– Dzień dobry – wita mnie miękko Emile.

Wciąż odziany w szatę dwórki siedzi na jednym z krzesel.

– Spałeś tutaj? – pytam. Wciąż jeszcze nie oprzytomniałam do końca.

– Tak.

Krzesło nie wygląda na specjalnie wygodne, co sprawia mi lekką satysfakcję.

– Zaordynuję śniadanie. Może weźmiesz prysznic?

W ustach mam straszny niesmak, wciąż czuję wymiociny. Emile podchodzi do ściany przy łóżku i pociąga za wiszący tam sznur. Domyślam się, że w ten sposób zamawia śniadanie. Powinnam być głodna, ale nie jestem. Myślę jedynie o tym, co przyniesie dzisiejszy dzień.

– Co ona mi zrobi? – pytam.

Emile przywołuje na twarz szeroki, fałszywy uśmiech. Na widok tego grymasu mam ochotę znów wymiotować.

– Dzisiaj wychodzisz! – oznajmia radośnie.

Patrzę na niego zmrużonymi oczami. Coś jest nie tak. Dociera to do mnie z całą mocą, kiedy Emile odrzuca okrywającą mnie kołdrę i wyciąga mnie z łóżka.

– Zmykaj pod prysznic. To będzie wielki dzień!

To, że Emile nie mówi normalnie, lecz wykrzykuje kolejne frazy, tylko bardziej mnie niepokoi.

Ale chcę wziąć prysznic.

I naprawdę go potrzebuję.

Mężczyzna pilnuje mnie, gdy szoruję ciało pod strumieniem gorącej wody, ale kiedy spoglądam na niego, widzę, że stara się na mnie nie patrzeć. Wydaje się szalenie zainteresowany jakimś sękiem na

drewnianej futrynie.

Tym razem nie spieszę się tak, jak poprzednio i odkręcam najgorętszą wodę, jaką mogę znieść. Niestety, sopel lodu, który tkwi gdzieś w środku mnie, nie chce się rozpuścić. Wreszcie Emile zakręca wodę.

– A teraz cię wyszykujemy – oznajmia radośnie.

– Przestań! – drę się na niego. – Przestań się zachowywać, jakby to była jakaś cudowna przygoda! Przestań ćwierkać! To idiotyczne! Wiesz, co mi wczoraj zrobili? Rozumiesz? Jesteś w ogóle w stanie to pojąć?!

Emile dopada mnie w jednej chwili. Jego twarz jest tak blisko, że przez sekundę wydaje mi się, że dwórka ma zamiar mnie pocałować.

– Oczywiście, że wiem – syczy Emile. – Wiem o wiele więcej niż ty. Zdajesz sobie sprawę, ile surogatek przeszło przez ten dom? Dziesięć. Jedna na każdy rok, który tu spędziłem. Domyślam się, że zauważyłaś już, że w tym pałacu nie ma żadnych kobiet poza tobą i Hrabinią. Spotkania z doktorem mają bardzo konkretny cel, ale cała reszta... Te narzędzia, które tworzy Frederick? One służą tylko do zabawy. A Hrabina kocha się bawić. To na tobie skoncentruje całą swoją złość. Swoją nienawiść. Więc, bardzo proszę, idź za moim przykładem. Kiedy zachowuję się, jakbym był radosny, robię to dlatego, że masz jakiś cień szansy, żeby zaznać dzisiaj choćby odrobiny szczęścia.

Milczę, oszołomiona tym, co przed momentem usłyszałam. Emile odwraca się, a ja ruszam za nim bez słowa, owijając się ciasno ręcznikiem. Po chwili stoję tępo przed szafą pełną sukien, których nie chcę nosić. Emile rozmawia sam ze sobą, zastanawiając się nad kolejnymi fasonami. Wszystkie suknie, które wyciąga, są czarne. Żadna z nich nie sprawia, że myślę o czymś miłym.

W tym pokoju mieszkało dziesięć surogatek. A wcześniej? Ile?

– Ach! – wzdycha w pewnym momencie Emile. – Ta będzie idealna.

Pokazuje mi długą czarną kreację z koronkową górą i plisowaną spódnicą. Kiedy sadza mnie przed toaletką, by zająć się moją twarzą i włosami, nie patrzę w lustro. Przestałam ufać lustrom.

Niedługo potem zjawia się jedzenie. Bułki cynamonowe, gorąca

kawa i świeże brzoskwinie. Tym razem zjadam wszystko.

Emile oznajmia, że skończył, po czym odchodzi o krok, by podziwiać swoje dzieło.

– Naprawdę jesteś piękna – mówi.

Gapię się na niego. Nie wiem, czy spodziewa się jakiejś odpowiedzi. Nie mam pojęcia, co miałabym rzec.

Przed długie minuty siedzimy w milczeniu.

– Nie chcesz wiedzieć, gdzie masz pojechać? – pyta wreszcie.

– Nie – kłamię.

Emile krzywi się lekko.

Drzwi otwierają się i do komnaty wchodzi Hrabina. Wbrew sobie podrywam się na równe nogi. Nie wiem, czy chcę uciekać czy walczyć. Może po prostu, stojąc, czuję się pewniej.

Frederick jest za nią. W jednej dłoni trzyma czarną koronkę, a w drugiej coś, na widok czego robi mi się niedobrze. To ten złoty, wysadzany klejnotami hełm, który widziałam na ścianie lochu. Hrabina spostrzega, że na niego patrzę i uśmiecha się.

– Mogę zawołać pięciu Gwardzistów, którzy stłuką cię do krwi, a Frederick w sekundę zaleczy twoje rany – oznajmia. – A potem i tak założysz to, co chcę, żebyś założyła. Ale wtedy się spóźnimy, a ja nienawidzę się spóźniać. Bądź więc dobrą dziewczyną i stój grzecznie.

Tkwię jak wmurowana, wciąż prześladowana wspomnieniem rozplywającej się twarzy matki. Frederick przypina mi koronkę na czubku głowy i opuszcza ją na twarz niczym welon. Żołądek podjeżdża mi do gardła, kiedy mężczyzna ostrożnie zakłada mi hełm.

Ale tak naprawdę to nie hełm.

To kaganiec.

Zęby mam zaciśnięte i nie mogę ruszyć szczęką, nie mogę otworzyć ust. Przez kilka sekund cieszę się, że konstrukcja ma otwór na oczy, ale po chwili Frederick zatrzaskuje wizjer i pogrąża mnie w ciemności. Ostatnim, co widzę, jest zadowolona mina Hrabiny.

– Och, Fredericku – mruczy kobieta. – To doskonałe.

Znów prowadzą mnie na smyczy przez pałac, niewidomą i macającą drogę przed sobą jak idiotka.

Ilekoć orientuję się, że unoszę ręce, opuszczam je, ale to silniejsze ode mnie, instynktowne. Po raz kolejny słyszę szepty. Tym razem mieszkańcy pałacu komentują mój knebel.

– Och, o wiele ładniejszy niż ten zeszłoroczny.

– Spójrzcie tylko, tym razem użył zarówno szafirów, jak i szmaragdów.

– Niesamowite wyczucie detali.

Naprawdę nie wiem, dlaczego Emile za wszelką cenę chciał mnie przekonać, że to będzie miły dzień. A potem czuję na skórze powiew ciepłego powietrza, a moich uszu dobiega pomruk silnika samochodu.

No tak, wychodzę.

A to znaczy, że być może znowu spotkam Violet.

Przez ten kaganiec nie mogę się uśmiechnąć, mam jednak wrażenie, że całe moje ciało emanuje radością. Niezgrabnie wpycham się do samochodu i nawet się nie wzdygam, kiedy ocieram się ramieniem o ramię Hrabiny.

Jadę zobaczyć się z Violet, mówię sobie. A dzięki Violet wszystko będzie dobrze.

Tym razem nie zataczamy tak wielu kół. W którymś momencie zaczynamy wjeżdżać na coś, co musi być wysokim wzgórzem. Samochód zwalnia i ktoś unosi przesłoną wizjera w moim hełmie. Słyszę kliknięcie i paskudztwo zostaje ściągnięte z mojej twarzy. Z ulgą poruszam szczęką.

Stoimy przed wielkim pałacem, który wygląda, jakby stworzono go z płynnego złota. Budowla jest bardziej oszałamiająca niż wszystkie, jakie do tej pory widziałam. Ma mnóstwo wieżyczek, kopulek i innych dziwnych elementów architektonicznych porozsiewanych w rozmaitych miejscach. Drogę, którą się teraz wlecemy, wypełniają automobile. Widzę mnóstwo odzianych na czarno arystokratek i ich zakwefione surogatki. Serce rośnie mi w piersi.

Och, Emile’u, myślę. Miałaś rację.

Gdzieś w tym tłumie jest Violet. Wiem o tym. Czuję to.

Hrabina pociąga za smycz.

– Obowiązują cię te same zasady, co ostatnio – mówi. – Pamiętaj o tym.

Patrzę na nią najzimniejszym z moich spojrzeń, ale tak naprawdę nadrabiam miną.

Kierowca otwiera drzwi Hrabinie, a ona wyciąga mnie na zewnątrz. Podchodzimy do grupy kobiet i niemal natychmiast ta niezbyt popularna Diusza materializuje się obok nas.

– Och, Ebony, to takie okropne – jęczy.

U jej boku stoi zakwefiona i wyraźnie zdenerwowana Blondyna. Ona również jest na smyczy. Cieszę się, że nie tylko ja muszę nosić obrozę. Kiedy pospiesznie rozglądam się wokół, dostrzegam, że wszystkie surogatki są trzymane w ten sposób.

Hrabina wzrusza ramionami.

– Nie jestem zaskoczona.

– Myślisz, że ona to zrobiła?

– Oczywiście, że ona. Ale i tak niczego nie zdołamy jej udowodnić.

W morzu czarnych welonów szukam Violet, ale wszystkie dziewczyny wyglądają tak samo.

Nagle rozlegają się fanfary i otwierają się drzwi do pałacu. Tłum milknie, gdy na szczycie schodów, otoczony Gwardzistami, pojawia się człowiek, którego nawet ja rozpoznaję.

Hierarcha. Wygląda starszej niż na zdjęciach.

– Jej Królewska Wysokość dziękuje wam za wsparcie w tym smutnym czasie – mówi. – Nie zgadza się jednak, by jakakolwiek surogatka przekroczyła próg pałacu. Musicie je tutaj pozostawić, jeśli chcecie osobiście złożyć kondolencje. Oczywiście, zadbamy o ich bezpieczeństwo. Będą pod strażą mojej osobistej gwardii.

Pani Blondyny zapowietrza się, jakby właśnie oznajmiono, że ktoś obetnie jej kończynę albo coś w tym stylu.

Hrabina wzdycha ciężko i kręci głową.

– Amatorszczyzna – mruczy, po czym odpina łańcuch, który łączy mnie z jej nadgarstkiem i przypina go do mojego. Potem, bez słowa, czy choćby spojrzenia w moim kierunku, przepycha się przez tłum w stronę pałacu.

Tylko ona reaguje w ten sposób. Nielubiana Diusza szybko, choć nie bez widocznego oporu, idzie w jej ślady, jednak wiele kobiet szepce między sobą i krzywi się. Dopiero po dłuższej chwili

przewyciężają obiekcje i rzeka czerni zaczyna wpływać do pałacu. W tym samym czasie plac otaczają noszący czerwone kurty mężczyźni. Ludzie Hierarchy uzbrojeni są w strzelby i wydają się więksi i groźniejsi niż inni Gwardziści, których widziałam. Ale może tylko to sobie wyobrażam.

Mężczyźni zacieśniają krąg wokół nas i wpadamy na siebie z Blondyną. Dociera do mnie, że dziewczyna zna Violet, a przynajmniej wie, jak ona wygląda.

– Widziałaś gdzieś tutaj dziewczynę, która była na kolacji? – pytam.
– Tę z czarnymi włosami i fiołkowymi oczami?

– Cicho – syczy Blondyna. – Nie chcę żadnych kłopotów.

– Jaja sobie robisz? – wyduszam, zaskoczona. – Nie ma ich tu. Jak miałyby się dowiedzieć?

Dziewczyna pociąga nosem, w ostentacyjny sposób splatając ramiona na piersi i odwracając się ode mnie.

Tchórz.

Zwracam się w stronę innej dziewczyny z zamiarem powtórzenia pytania, kiedy coś przychodzi mi do głowy.

Arystokratki, nasze panie, są gdzie indziej.

To moja szansa. Nie będę tracić czasu, wypytyując te durne gęsi, bo albo nie będą wiedziały, o kogo mi chodzi, albo stchórzą jak Blondyna. Jeśli chcę się zobaczyć z Violet, muszę sama ją znaleźć.

Biorę głęboki oddech i wydzieram się na całe gardło:

– Violet!

Kilka dziewcząt cofa się, jakbym była chora na coś zakaźnego, inne jednak są wyraźnie podbudowane moją bezczelnością.

– Violet! – krzyczę po raz kolejny.

– Raven!

Jest tutaj! Na dźwięk jej głosu, kolana się pode mną uginają, a serce wali mi w piersi w rytmie nadziei. Odwaga. Siła! Natychmiast rzucam się w kierunku, z którego dochodził jej głos. Przepycham się między surogatkami, które wzięły ze mnie przykład i również wołają swoje przyjaciółki.

– Fawn!

– Scarlet!

– Ginger!

Wciąż słyszę moje imię, Violet jest coraz bliżej... Tak! To ona. Poznałabym ją wszędzie, nawet z tym durnym welonem na twarzy. Wpadamy na siebie i obejmuję ją mocno, ciesząc się znajomym dotykiem. Nie chcę jej puścić. Nigdy. Przenigdy.

– Wszystko w porządku? – pyta mnie.

Odpowiadam bez namysłu:

– Tak, tak, a jak u...

Nagle w powietrzu rozbrzmiewa huk wystrzałów, to Gwardziści wystrzelili ostrzegawczą salwę. Tłum surogatek zbija się jeszcze mocniej, rozdzielając mnie na chwilę z Violet. Przyjaciółka łapie mnie za rękę i trzyma, jakby od tego, czy mnie nie puści, zależało nasze życie.

– Jak ci się podoba Pałac Jeziora? – dopytuję. – Diuszesa dobrze cię traktuje?

– Ja... Nie wiem – jąka się Violet. – Uderzyła mnie. – Ścisła mnie w żołądku. – I podarowała mi wiolonczelę. Jedzenie jest przepyszne.

Po raz pierwszy od wieków chyba, a przynajmniej takie mam wrażenie, parskam serdecznym śmiechem. Violet nie potrafi kłamać. Gdyby zrobiono jej coś takiego jak mnie, nie umiałaby tego ukryć. Nic jej nie jest. Ma jedzenie. Ma wiolonczelę.

Wszystko jest w porządku.

Poczucie ulgi niemal mnie przytłacza. Violet uśmiecha się do mnie.

– A tobie jak się układa z Hrabinią Kamienia? – pyta.

Serwuję Violet moje najlepsze pogardliwe parsknięcie w stylu „wszyscy możecie się ode mnie odwalić”.

– Nie sądzę, żebyśmy się polubiły z Hrabinią – oznajmiam zgryźliwie.

Violet patrzy na mnie zmartwiona.

– Dlaczego? Co jest nie tak?

– Nie martw się o mnie, Violet. – Przywołuję na usta znamionujący pewność siebie uśmiech. – Zadbam o to, żeby ta baba pożalowała dnia, w którym mnie kupiła.

– Raven, nie rób tego – prosi Violet. – Ona może zrobić ci krzywdę!

– Och, wiem o tym. – Przed oczyma znów pojawia mi się twarz

mamy. – Byłaś już u lekarza?

– Nie.

– Jak będziesz, zobaczysz, o co chodzi. A może wcale nie zobaczysz? – dodaję, bo Violet wygląda na coraz bardziej przerażoną.

– Może Diusza jest inna. Violet, Hrabina... – Ostrożnie dobieram słowa. – Z nią jest coś mocno nie tak.

– Przerażasz mnie – szepce Violet.

Już wiem, że nie mogę powiedzieć jej prawdy. Nie mogę złożyć tego ciężaru na jej ramiona.

Nie odbiorę jej nadziei.

Nigdy wcześniej nie czułam się taka samotna.

Ściskam Violet za rękę, by dodać jej otuchy.

– Dam sobie radę. – Jestem dumna z tego, jak spokojnie brzmi mój głos. – Nie martw się.

Violet otwiera usta, najpewniej po to, by wyciągnąć ze mnie więcej informacji, ale w tym momencie w powietrzu znów rozbrzmiewają strzały. Arystokratki zaczynają opuszczać pałac.

– Nie chcę cię zostawiać – mruczy Violet.

– Też tego nie chcę – mówię, czując, jak w gardle narasta mi szloch. Tłumię go i zmuszam się do butnego uśmiechu. – Na pewno niedługo znowu się zobaczymy. W końcu to Domy Założycieli, prawda?

– Jasne – odpowiada Violet.

Arystokratki zaczynają odbierać swoje surogatki. Nie mam problemu z wypatrzeniem Hrabiny, bo jest wielka jak szopa z narzędziami. Wiem, że powinnam uważać, że jest gotowa zrobić to, czym mi groziła, a tak się składa, że wołałabym zachować język.

Natychmiast się spinam.

– Nie może zobaczyć, że rozmawialiśmy – szepcę i, nim Violet zdąży zareagować, puszczam jej ciepłą dłoń i zanurzam się w morzu czarnych welonów.

Dłoń, którą ją trzymałam, zaciskam kurczowo, zupełnie, jakbym mogła w ten sposób zatrzymać przy sobie moją przyjaciółkę, jakby jej obecność była czymś namacalnym. Hrabina szybko wyławia mnie z tłumy i przypina moją smycz do swojego nadgarstka.

Czegokolwiek mi nie zrobisz, myślę, kiedy ciągnie mnie za sobą do samochodu, mojej przyjaciółki nie dostaniesz. Violet jest bezpieczna.

Powtarzam to sobie wciąż i wciąż, kiedy zakładają mi kaganiec.

I wtedy, kiedy odprowadzają mnie do klatki.

Oślaniam tę myśl niczym płomyk świecy, ogrzewając się w jej ciepłe i chłonąc jej blask.

Bo nie wiem... Naprawdę nie wiem, czy uda mi się przetrwać w tym pałacu.

GARNET

Rozdział 1

Kiedy mój automobil zajeżdża przed klub, na chodniku kłębi się już tłum fotografów.

– Czy życzy pan sobie, żebym podjechał pod tylne wejście? – pyta szofer. Nie jest tak bezczelny, jak potrafią być niektórzy kierowcy z Banku. Jeden miał dość tupetu, by poprosić mnie o autograf.

– Tylne wejścia są dla służących – odpowiadam. – Szlachta wchodzi frontowymi drzwiami.

W oknie samochodu sprawdzam, jak wyglądam. Szkoda, że nie mogę podziękować surogatce, która mnie zrobiła. Nie ma kości policzkowych bardziej idealnych niż moje. Dwa górne guziki koszuli odpięte? Są. Lekka woń wody kolońskiej? Jest. Świetnie. Przywołuję na usta najbardziej diabelski z repertuaru moich uśmiechów i otwieram drzwi. Natychmiast otaczają mnie reporterzy.

– Garnet! Garnet! Tutaj!

– Uśmiech, proszę!

– Czy to prawda, że w Hotelu Waleford narobiłeś szkód na trzydzieści tysięcy diamentów?

– Ile jeszcze skandali wytrzyma Dom Jeziora, zanim wreszcie na dobre zniszczysz jego reputację?

To ostatnie pytanie sprawia, że przystaję. Obracam się i miazdzą dziennikarza wzrokiem.

– Wzrusza mnie, że uważasz, iż samodzielnie jestem w stanie zniszczyć reputację rodziny, która istnieje od czasów powstania tego miasta – mówię chłodno. Gość ma na tyle przyzwoitości, by wyglądać na zawstydzonego.

Na jego miejsce wpycha się inna reporterka.

– Czy twoja matka zamierza na jutrzejszej Aukcji kupić jakąś surogatkę? – pyta.

No tak, to zawsze się tak kończy, nie ma okazji, by ktoś nie zepsuł mi humoru pytaniami o mamusię. Jakbym nie był samodzielnym bytem.

– Moja matka nie zwierza mi się ze swoich planów, zwłaszcza tych

dotyczących posiadania kolejnego dziecka. Ma pełne ręce roboty z jednym potomkiem. O czym zresztą nie dajecie mi zapomnieć.

Zebrani parszczą śmiechem, a ja wchodzę do klubu.

Jasne, krzyczą za mną, ale ich pytania i prośby spływają po mnie jak woda po kaczce i rozbryzgują się na chodniku. Zupełnie nie interesuje mnie, co sądzą na mój temat reporterzy z Banku.

Któregoś dnia zostanę Diukiem Jeziora.

Mam w nosie, co kto o mnie myśli.

Klub nazywa się Nagroda Klejnotu, co nie brzmi zbyt zachęcająco, ale to nowa miejscówka i na dodatek ma niezłe opinie.

Rzecz jasna zaproszono mnie na otwarcie, ale noc poprzedzająca Aukcję jest tak pioruńsko nudna, że specjalnie czekałem, byle tylko wyrwać się z domu i oddalić od matki. Im bliżej Aukcji, tym trudniej z nią wytrzymać, choć przecież nigdy niczego nie kupuje. W tym roku przeszła samą siebie. Była koszmarna.

Tak więc, niedługo po tym jak wraz z ojcem udali się na raucik w Pałacu Róży, uznałem, że najwyższa pora wybrać się do Banku. Minał tydzień od mojej ostatniej wizyty, zakończonej smutnym incydentem w hotelu Waleford, i Klejnot znudził mnie do granic mdłości. Młode arystokratki są albo strasznie pruderyjne, albo świata nie widzą poza swoimi Towarzyszami. Panny z Banku cenią sobie dobrą zabawę.

Niezbyt często myślę o ojcu, ale w tej chwili trochę mu współczuję. Na ilu przedaukcyjnych kolacjach już był? I o czym oni w ogóle rozmawiają? O wyglądzie surogatek? Tych najnudniejszych stworzeń na ziemi? Surogatki rzadko się odzywają, a kiedy już to robią, ograniczają się do „tak, moja pani” i „nie, moja pani”. Koszmar. Arystokratki obnoszą się z nimi jak ze zwierzątkami domowymi, które na dodatek są tak ciche i grzeczne, że łatwo je przegapić. Normalni służący robią przynajmniej ciekawe rzeczy. Na przykład okłamują moją matkę i romansują między sobą.

Wielki ochroniarz w surducie z ukłonem otwiera mi drzwi. Owiewa mnie ciepłe, pachnące słodkimi perfumami oraz potem powietrze. Oświetlenie klubu jest, muszę przyznać, znakomite. Ze środka sufitu zwiesza się ogromny żyrandol wykonany z tysięcy małych świetlnych kul. Parkiet taneczny otaczają okrągłe stoliki, na których stoją lampki z

wykończonymi złotymi frędzlami fiołkowymi abażurami, a bar jest podświetlony od tyłu, tak że ustawione w rzędach butelki zdają się emitować zielonkawę, bursztynowe i niebieskie światło.

Do tańca przygrywa kapela dęta, a na parkiecie kłębi się tłum złożony z najmłodszego pokolenia Klejnotu i najbogatszych dzieciaków Banku. Jedna z dziewczyn mruga do mnie, gdy jej partner obraca ją w tańcu.

Ruszam w kierunku baru i ludzie rozstępują się przede mną. Niektórzy witają mnie uściskiem dłoni albo ukłonem. Mieszkańcy Banku uwielbiają udawać, że przyjaźnią się z arystokratami. Nie przeszkadza mi to tak długo, jak łączy się z szybszą obsługą.

– Co mogę panu zaproponować tej nocy? – pyta barman. Prawie nie daje po sobie poznać, że wie, kim jestem.

– Czystą whisky – mówię i gość natychmiast potakuje.

– Garnet! – podchodzi do mnie, mocno już zawiany, jak zazwyczaj zresztą, Peri. Peri pochodzi z Domu Potoku i zawsze uważałem, że sądzi, że już samo to powinno uczynić nas najlepszymi kumplami. Jakby potok i jezioro niczym się od siebie nie różniły. Jedno woda i drugie woda. Tak naprawdę Peri ma na imię Peridot i wcale się nie dziwię, że wymyślił sobie ksywkę. Chyba palnąłbym sobie w łeb, gdyby matka tak idiotycznie mnie nazwała.

– Ej, uważaj, Peri – rzucam, kiedy chłopak wspiera się ciężko na towarzyszącej mu dziewczynie. Fajna laska, ale cokolwiek za bardzo blond jak na mój gust.

– Wszystko gra – chichocze dziewczyna. – A przy okazji, jestem Lacey. – Rzuca mi gorące spojrzenie. Jestem pewien, że na ćwiczeniu go spędziła przed lustrem sporo czasu.

– Mamy stolik. Zastanawiałem się, kiedy tu wreszcie dotrzesz – mówi Peri. – Chodź.

Zabieram moją whisky i rzucam na bar kilka diamentów. Peri prowadzi nas do niewielkiej alkowy na tyłach, gdzie czeka reszta towarzyszy. Jasper z Domu Doliny siedzi między dwiema brunetkami, a potężny koleś z Banku, Marver, ma do towarzystwa pulchną blondynkę. Chłopak wstaje szybko, by się przywitać. Jego matka prowadzi jedną z najlepszych Sztub Towarzyszy w Banku.

Tuż obok przeznaczonego dla mnie miejsca siedzi zjawiskowa piękność o włosach w odcieniu miedzi, pociągniętych ciemną czerwienią wargach i boskim ciele opiętym błękitną suknią. I seksownie się do mnie uśmiecha.

– Zajęte? – pytam, wskazując krzesło, a dziewczyna parska niskim, gardłowym śmiechem. Gdy go słyszę, przeszywa mnie dreszcz pożądania.

– Nie – odpowiada. – Co pijesz?

– Whisky – rzucam, siadając i unosząc szklankę.

– To tak jak ja – zauważa z kolejnym uśmiechem i stuka swoją szklanką w moją.

O rany, chyba się zakochałem.

– Garnecie, miałeś już okazję poznać Cyan? – zagaduje Marver. – Jej ojciec jest szefem „Herolda Samotnego Miasta”.

– Więc, na twoim miejscu, uważałbym, co mówię – wcina się Peri, puszczając do mnie oko. Mam ochotę go udusić. Jeszcze nawet nie zacząłem porządnie flirtować, a on już psuje moje zagrywki.

Ale Cyan po prostu się śmieje.

– Cała ta noc zostanie między nami – oznajmia.

Dłoń pięknej Cyan muska moje udo. Dziewczyna, patrząc mi głęboko w oczy, dopija resztę swojej whisky.

– Jeszcze jedną? – pytam, a ona się uśmiecha.

Kiedy budzę się kolejnego ranka, mam wrażenie, że łeb spuchł mi do rozmiarów wiadra, a język zamienił się w kawał papieru ściernego.

– Ugh... – Przetaczam się na bok i spadam z łóżka na podłogę. Wciąż jestem w garniaku, ale koszulę mam zupełnie rozpiętą. I brakuje mi jednego buta.

Co się wydarzyło ostatniej nocy?

Usiłuję przypomnieć sobie szczegóły, ale wszystko mi się zlewa. Pamiętam Cyan tulącą się do mnie na parkiecie, kolejne, donoszone do stolika butelki whisky i szampana, Cyan ciągnącą mnie w ciemny kąt, smak jej ust...

Szeroko otwieram oczy. Poszliśmy... gdzieś. Sami. Razem. Przypominam sobie, jak rozpiniała mi koszulę. I przypominam sobie, jak ja rozpinąłem jej sukienkę.

O nie! Nie mogłem... Łapię się za krocze, jakby jaja były w stanie poinformować mnie, czy złamałem jedyną regułę, której złamać absolutnie nie mogę. Jestem świetny w przekraczaniu granic. Wszystkich, poza tą. Seks przed ślubem? I to z dziewczyną z Banku? Zostałbym wydziedziczony, straciłbym tytuł i wszystko inne.

Dzwonię po lokaja. Potrzebuję kawy i jedzenia. Może niczego nie zrobiłem. Może tylko się trochę poprzytulaliśmy. Wydaje mi się, że pamiętam, że coś tej dziewczynie obiecywałem, ale co? Śmiała się, a potem... płakała? Moment. Może obiecałem jej nowy samochód? Tak, to całkiem możliwe. A może to były bilety do Królewskiej Sali Koncertowej?

Dźwigam się na nogi i chwiejnym krokiem idę do łazienki. Głowa mi pulsuje, kiedy pochylam się nad umywalką i odkręcam kran. Ciepła woda trochę mnie orzeźwia. Patrzę na siebie w lustrze – oczy mam zaczerwienione i podpuchnięte, a na głowie totalne siano.

– Coś ty narobił? – pytam sam siebie.

Słyszę pukanie do drzwi.

– Wejść! – wołam, ocierając twarz ręcznikiem. – Mam nadzieję, że Zara zrobiła dzisiaj piekielnie mocną kawę.

Kiedy jednak wracam do pokoju, widzę, że to nie lokaj przyniósł mi śniadanie, ale Annabelle.

W twarzy Annabelle można czytać jak w otwartej księdze, ale nawet gdyby tak nie było, i tak miałbym pewność, że wpadłem w kłopoty. Założę się, że żaden z lokajów nie chciał ryzykować spotkania ze mną.

– No to co zrobiłem? – pytam.

Annabelle odstawia tacę na stolik i wyciąga swoją tabliczkę.

Samochód

– Rozbiłem go? – Nie pamiętam jazdy powrotnej do domu.

Annabelle przewraca oczami.

JEZIORO

– Wjechałem nim do jeziora? – Kiwa głową. – Do naszego jeziora?
– Kolejne kiwnięcie. – No cóż... To coś nowego.

Nie mogę się już powstrzymać. Wybucham śmiechem na myśl o wyrazie twarzy matki, kiedy obudziła się o poranku dnia Aukcji i

ujrzała samochód swojego syna zaparkowany w jej bezcennym bajorku.

Annabelle podchodzi do mnie i uderza mnie tabliczką.

– Hej! Ała!

Mało zabawne

– Przepraszam, przepraszam.

Niebezpieczne

– Wiem – przyznaję. – Więcej tego nie zrobię.

Patrzy na mnie ponuro.

– Obiecuję! – Palcem rysuję X na wysokości serca. Właśnie w ten sposób Annabelle obiecywała mi, że mnie nie wyda, kiedy jako dziecko robiłem głupie dowcipy w stylu wypisywania przekleństw na ścianach sali balowej albo wiązania razem sznurówek butów ojca.

Annabelle uśmiecha się do mnie krzywo i wiem, że moje winy zostały wybaczone. Potem unosi pokrywę tacy i w nozdrza uderza mnie woń ciepłego pastrami oraz frytek. Annabelle dobrze wie, co najbardziej lubię jeść na kacu.

– Pastrami na śniadanie? – pytam. – Ratujesz mi życie.

Podchodzi do okna i odsuwa zasłony. Wpadające do pokoju światło ma ciemnożółtawe zabarwienie. Słońce zaczyna już zachodzić.

– Spałem cały dzień?

Annabelle unosi jedną brew.

Co się działo w nocy?

– Nic – mówię. – Ja... Nic złego.

Widzę, że mi nie wierzy. Wgryzam się w kanapkę, a Annabelle, wyraźnie zawiedziona, opuszcza komnatę.

Jest późny wieczór, kiedy William, jeden z lokajów, przychodzi, by podzielić się wieściami.

– O co chodzi? – pytam z irytacją, gdy puka do drzwi.

– Twoja matka, panie. Wróciła z Aukcji.

– I to takie ważne, bo...

Bądźmy szczerzy, siedzę w pokoju głównie po to, żeby się z nią nie widzieć. No i trochę dlatego, że nadal mnie mdli i obawiam się, że jeśli zacznę się ruszać, to zwymiotuję.

William przetyka ślinę.

– Nie wróciła sama, panie. Kupiła surogatkę.

Rozdział 2

Następnego ranka opuszczam moje komnaty nieco już świeższy i nawet trochę zaciekawiony.

Być może powinienem był to przewidzieć. Hierarcha i Wybranka mają syna, a to znaczy, że szukają dla niego narzeczonej. Królewskie dziecko nie może długo pozostać niezaręczone. Słyszałem również, że tegoroczna Aukcja była największą w historii. Matka zawsze udaje, że jest ponad wszelkie ploty i sezonowe mody. Jakoś nie przyszło mi do głowy, że jest żywotnie zainteresowana tym, co się dzieje. Tragiczne przeoczenie. Bo przecież tak naprawdę matka kocha intrygi bardziej niż większość rozmiłowanych w politykierstwie arystokratek Klejnotu.

Kolejne dziecko. Ciekawe, jak ten pałac będzie wyglądał, kiedy się zjawi. Cóż... Dla mnie raczej niczego to nie zmieni, bo najpewniej prawie w ogóle nie będę miał styczności z moją małą siostrzyczką. Matka zapewne nie dopuści mnie do niej ze strachu, że mój koszmarny sposób prowadzenia się okaże się zaraźliwy. Pasuje mi to. Dzieci są głośne i strasznie brudzą.

Nim wyjdę, upewniam się, że na korytarzu nikogo nie ma. Nie czuję się gotowy, żeby spotkać się z matką. Wciąż trudno mi uwierzyć w to, że utopiłem samochód w jeziorze.

Cichutko przemykam po pałacu, gdy nagle słyszę moją rodzicielkę. Rozpoznaję ton jej głosu. To ten wyrażający irytację. A może nie. Może to ten znamionujący ciężką furię. Są do siebie takie podobne, że czasem mi się mylą.

– Wydaje ci się, że dokąd idziesz, Garnecie?

Obracam się i widzę, że matka spływa właśnie ze schodów prowadzących do jej prywatnych komnat. Błysk w jej oku podpowiada mi, że dzisiaj mam wątpliwą przyjemność z wcieleniem furii.

– Dzień dobry, matko – witam się radośnie. – Pomyślałem, że zjem śniadanie w jadalni. Słyszałem, że Aukcja okazała się owocna. Gdzie jest szczęśliwa surogatka?

– Nie zachowuj się, jakby nic się nie stało. I nie stój jak kołek w

ubraniach, które ci kupiłam, w domu, który wybudowała moja rodzina... Rodzina, którą notorycznie obrażasz swoimi infantylnymi wybrykami. Przekroczyłeś granicę, Garnecie, nie udawaj więc, że wszystko jest w porządku.

Moja matka ma uroczą zdolność rozrywania ludzi na ochłapy z pomocą bardzo grzecznych, wypowiedzianych z kamiennym spokojem słów. To jedyne chciałbym po niej odziedziczyć.

– Przykro mi z powodu wozu – mówię. – To było... nieodpowiedzialne. Jeśli chcesz mnie uziemić na tydzień czy dwa, to przyznaję, że...

– Myślisz, że chodzi mi o samochód? – Jej głos zamienia się w syk.

– Eee... Już nie? – odpowiadam z wahaniem.

– Rano przyjechał do mnie Lucien. Jest w bibliotece. – oznajmia matka, podchodząc do mnie. Choć jest ode mnie sporo niższa, kiedy patrzy na mnie w ten sposób, znów czuję się jak dziecko. – Myślę, że to on powinien ci wszystko wyjaśnić. Ja stąd pójdę, bo jeszcze chwila, a zrobię coś, czego będę żałować.

Wymija mnie i rusza ku głównym schodom. Grzecznie kieruję się w stronę biblioteki. Idę niespiesznie, starając się posklejać jakoś ze sobą urywki wspomnień z klubu, ale nic nowego nie przychodzi mi do głowy.

Na początku nie mogę znaleźć Luciena, bo biblioteka matki, jej wielka duma, jest przeogromna. Snuję się między półkami, aż wreszcie dostrzegam Luciena siedzącego w skórzanym fotelu w jednej z położonych na tyłach pomieszczenia czytelnia.

– Garnet – wita mnie, wstając i kłaniając się. – Dziękuję, że znalazłeś dla mnie czas.

– Tak naprawdę to matka nie dała mi wyboru – zauważam sucho. W towarzystwie Luciena zawsze czuję się nieswojo. Nie dlatego, że jest eunuchem. Wiele dwórek jest płci męskiej. Chodzi o to, że Lucien zachowuje się w pewien specyficzny sposób, jakby... Jakby wszystko wiedział, jakby nic go nie zaskakiwało. Zawsze uprzejmy, zawsze miły, nie sprawia wrażenia dupka, ale... Ale jest trochę dupkiem. Nie lubię przebywać w towarzystwie kogoś, kto sprawia wrażenie, jakby w czasie rzeczywistym przeprowadzał moją wiwisekcję.

Nawet teraz na jego ustach błąka się ten wszytkowiedzący uśmieszek.

– Nie – mówi miękko. – Obawiam się, że nie dała.

Lucien siada i wskazuje mi fotel naprzeciwko siebie. Nie spieszy mi się, chcę pokazać temu człowiekowi, że to mój dom, a nie jego. Niestety, chyba nie zwraca uwagi na tę małą demonstrację.

– Powiedz proszę, byłeś przedwczoraj w nocy w klubie w Banku z kilkoma innymi młodymi arystokratami i dziewczętami z Banku?

– Tak – mówię. Po co zadaje to pytanie, skoro zna na nie odpowiedź? – Był tam również Marver Curio.

– Marver Curio nie ma znaczenia – odpowiada Lucien, zbywając kwestię machnięciem ręki. – Nikt nie ma znaczenia poza jedną młodą damą, niejaką Cyan Grandstreet. Pamiętasz ją? Pamiętasz, co razem robiliście?

Uszy zaczynają mi płonąć. Nie jest dobrze.

– Tak – rzucam i tym razem nie udzielam dodatkowych wyjaśnień.

– A pamiętasz, ileż to czasu razem spędziliście?

– O rany, wystów się, człowieku – irytuję się. – Nie mam czasu na te twoje gierki.

Lucien unosi jedną, perfekcyjnie wymodelowaną, brew.

– Och, sądzę, że na tę gierkę akurat masz czas. – Nachyla się ku mnie. – A pamiętasz, jak ojciec młodej damy przyłapał was na stole kreślarskim? Niekompletnie odzianych?

Mam wrażenie, jakby ktoś kopnął mnie w brzuch, ale Lucien kontynuuje.

– Pamiętasz, jak obiecałeś pannie Grandstreet, że się z nią ożenisz? Że uczynisz ją kolejną Diuszesą Jeziora?

W głowie mi wiruje, wciskam ją więc między kolana. Powietrza! Nie mogę oddychać! Co oni dodają w tym klubie do whisky? Powinienem złożyć skargę. Powinienem doprowadzić do zamknięcia tego lokalu. Co ja najlepszego narobiłem? Pamiętam uśmiech tej dziewczyny, pamiętam jej błyszczące od łez oczy. I pamiętam, jak powiedziała na bezdechu: Och, Garnecie, naprawdę?

– Ale... Ale ja po prostu nie byłem sobą! – wykrzykuję słabo, unosząc głowę. – Przecież... Przecież musiała wiedzieć, prawda? Nie

mogła uwierzyć w to, że naprawdę się z nią chajtne.

Lucien obdarza mnie tak zniesmaczonym spojrzeniem, że nie musi nawet mówić, że, owszem, dziewczyna mi uwierzyła. A potem przechyla lekko głowę.

– Przypomina to trochę sytuację twojej ciotki, prawda?

Tylko, że ja nie chcę być jak ciotka Opal. Nie chcę odrzucić sławy, dziedzictwa, pieniędzy. I wcale nie kocham Cyan. To idiotyczne. Absurdalne.

Znów wpycham łeb między kolana.

– Tyle tylko – ciągnie Lucien – że jakoś nie sędzę, byś darzył biedną pannę Grandstreet wielkim afektem. – Czy on czyta mi w myślach? – Nie uważam również, żebyś chciał dotrzymać słowa. Właściwie to po twojej minie i po tym, że za chwilę się udusisz, wnoszę, że nawet za dobrze nie pamiętasz tych swoich oświadczeń.

– Nie – wyduszam. – Nie pamiętam.

– Mniemam zatem, iż nie będziesz zachwycony, słysząc, że ojciec młodej damy zamierza opisać całą sytuację w gazecie. – Ścisza mnie w piersi. Jeśli facet to robi, to takiego skandalu nikt nie da rady zatuszować. Jestem zdumiony, że moja matka nie odgryzła mi głowy, kiedy wpadła na mnie w korytarzu.

– Co ty tu właściwie robisz? – pytam, siadając prosto. – Wpadłeś, żeby mnie dobić?

Na wargi Luciena wypływa pełen wyższości uśmiezek.

– Och nie, nie, Garnecie – oznajmia mężczyzna. – Jestem tu, żeby ci pomóc. I zrobię to, aczkolwiek pod jednym, bardzo konkretnym, warunkiem.

Nie mam pojęcia, czego może ode mnie chcieć. I nie mam też jak mu odmówić.

– O co ci chodzi?

Lucien unosi do warg smukły palec, nakazując mi milczenie. Potem odpina coś od pęku kluczy, który nosi przy pasie. To mały, srebrny kamerton. Mężczyzna kładzie go na stoliku pomiędzy nami i dotyka, a wtedy przedmiot zaczyna wibrować i unosi się ponad blat.

– Co to jest? – pytam.

– Coś, co uniemożliwi innym podsłuchiwanie – mówi Lucien, jakby

to wszystko wyjaśniało. – A teraz posłuchaj mnie bardzo uważnie. Rozmawiałem z twoją matką i zapewniłem ją, że to, co zrobiłeś, nigdy nie trafi do gazet. Więcej. Nikt nie będzie o tym mówił nawet szeptem, nieważne, czy na salonach, czy w tylnych uliczkach Banku. Cyn słowem o tobie nie wspomni. Jej ojciec również.

– Jakim cudem? – Jestem pod wrażeniem i nienawidzę się za to.

– To nie jest istotne. Twoja matka jest zadowolona i zaoferowała mi sporą sumę pieniędzy w ramach... podziękowania. Taki prezent. – Wyraz twarzy Luciena mówi mi, że pieniądze to ostatnie, co go interesuje.

Matka zawsze powtarza, że najbardziej niebezpieczni są ludzie, których nie da się kupić. Znow zaczynam się denerwować.

– No cóż – dukam. – Dziękuję. W imieniu swoim i mojej matki.

– Na nic mi twoje podziękowania – oznajmia Lucien. – Potrzebuję twojej pomocy.

– Mojej pomocy? W czym?

– Twoja matka kupiła właśnie surogatkę. Chcę, żebyś pilnował tej dziewczyny, póki przebywa w pałacu.

– Dlaczego? – pytam wprost.

– Bo ma dla mnie pewne znaczenie. Oczekuję, że będziesz raportował mi, co robi i co się wokół niej dzieje. Chcę wiedzieć o jej spotkaniach z doktorem, o tym, jak jest traktowana, czy wolno jej wychodzić, w jakim stopniu cieszy się wolnością i kto jej służy. – Marszczy brwi. – Zakładam, że służyć jej będzie Annabelle.

– Ale Annabelle jest moją służącą – zauważam bez namysłu. Technicznie rzecz biorąc, moje potrzeby powinien zaspokajać jeden z lokajów, ale znamy się z Annabelle od dziecka. Pamiętam, jak się urodziła, taka maleńka i cicha, pamiętam również, jak zwymiotowała mi na nowy garnitur, kiedy Cora pierwszy raz dała mi ją potrzymać. Annabelle wie, co lubię jeść i jakie ubrania nosić. Wie również, że nie należy zawracać mi głowy przed dziewiątą.

Lucien ignoruje moje oburzenie.

– Raz w tygodniu będziesz mi składał szczegółowy raport. I, nieważne, co by się działo, twoja matka nie może o niczym wiedzieć. Rozumiesz? Jedno twoje słowo i całe miasto dowie się o tym, co

zrobiłeś, a wtedy szybko pożegnasz się z życiem, które znasz. Staniesz się nikim.

Nikim. Aż się wzdrygam.

– Wiesz, że nie mogę ci odmówić – mamroczę.

– Oczywiście, ale i tak chcę, żebyś mi to przyrzekł.

Nie wiem, ile warte jest moje słowo, bo nikt nigdy mnie o nie nie prosił. Zazwyczaj po prostu daję ludziom pieniądze, kupuję im prezenty albo podarowuję bilety na jakieś ważne wydarzenia. Ale Lucien zdaje się żywić przeświadczenie, że to jest ważniejsze. Słowo.

– No dobra – zgadzam się. – Masz... masz moje słowo.

– Nikomu nie powiesz, o czym tu rozmawialiśmy?

– Nie.

– Zwłaszcza swojej matce?

– Nie powiem.

Chyba jest stuknięty, jeśli myśli, że mógłbym opowiedzieć matce o tym, w co wpakował mnie Lucien. Gdyby się dowiedziała, że zgodziłem się sekretnie szpiegować jej surogatkę, wydziedziczyłaby mnie w mgnieniu oka.

– Będziesz pilnował surogatki? Będziesz mnie co tydzień informował o wszystkim, co robi?

– Tak... – Namyślałam się przez chwilę. – A właściwie to w jaki sposób mam ci składać te raporty?

Lucien sięga do kieszeni i wyciąga z niej kolejny kamerton.

– To arkana – oznajmia. – Sam je wymyśliłem. Ten kamerton, który należy do mnie, może łączyć się z twoim. Mogę do ciebie... zadzwonić. Nie znalazłem na to lepszego określenia. Nie rozstawaj się z nim. I pod żadnym pozorem nikomu go nie pokazuj, bo naszą umowę uznam za niebyłą, rozumiano?

Kiwam głową i ostrożnie ujmuję w palce kamerton. Jest mały, lekki i... taki niepozorny.

Co za ogłupiający zwrot wydarzeń. Nie wiem, czy do dzisiaj zamieniłem z Lucieniem więcej niż sześć słów. Zawsze był tylko cieniem, elementem tła na balach, imprezach i innych wydarzeniach. A teraz dał mi jakieś technologiczne cudetko, które sam zmajstrował i... załatwił mnie. Jestem w jego mocy.

Lucien zgarnia wciąż unoszący się nad stołem kamerton i przypina go z powrotem do kluczy.

– Dziękuję, że znalazłeś czas, by się ze mną spotkać – mówi uprzejmie, kłaniając się nisko. – Życzę miłego dnia.

A potem obraca się z szelestem białej sukni i odchodzi.

Rozdział 3

Wiem, gdzie mieszczą się komnaty surogatki, zaczynam więc od nich. Jeśli mam pilnować tej dziewczyny, to chyba powinienem wiedzieć, jak wygląda.

Pilnowanie surogatki... Nie wiem, czy to cokolwiek odrażające, czy po prostu śmiertelnie nudne. Dlaczego Lucien nie poprosił mnie, żebym zajął się kimś choć trochę interesującym? Na przykład innym arystokratą. Albo moją matką.

No dobrze. Moja matka odpada. Nie wiem, czy chciałbym wiedzieć, co kombinuje.

Wchodzę na korytarz z tymi kretyńskimi kwiatowymi malowidłami i zderzam się z Corą, która akurat schodzi z niskich schodków wiodących wprost do komnaty surogatki.

– Co tu robisz? – chce wiedzieć. Wszyscy zadają mi to pytanie bardzo charakterystycznym, podejrzliwym tonem, jakby spodziewali się, że za chwilę wywinę coś straszego.

Wzruszam ramionami.

– Chyba chciałem po prostu zobaczyć surogatkę.

Cora przewraca oczami.

– Wiesz, że nie wolno ci wchodzić do jej pokojów. Chcesz jeszcze bardziej zirytować swoją matkę?

Oczywiście! Cora na pewno wie o tym, co wykręciłem w nocnym klubie.

– Nie – odpowiadam. – Masz rację. Byłem ciekawy, tylko tyle. Nigdy wcześniej nie mieliśmy tu surogatki.

Kobieta uśmiecha się do mnie łagodnie. To właściwie ona mnie wychowała i ma do mnie o wiele więcej cierpliwości niż rodzona matka.

– Jedną mieliśmy – zauważa. – Całkiem dobrze pamiętam twoją.

– A ta ją przypomina? – indaguję.

Cora namyśla się przez chwilę.

– Nie – oznajmia wreszcie. Nie wiem, czy powinienem czuć się urażony. – Dziewczyna nadal śpi. Może uda ci się ją zobaczyć

wieczorem, przed kolacją.

– A nie na kolacji?

Kobieta wzdycha.

– Jej Wysokość nie chciała, żeby cię o tym informować, ale wydaje dzisiaj tradycyjną kolację po Aukcji. Po raz pierwszy od dwudziestu lat. Będzie gościć Wybrankę i przedstawicielki pozostałych Domów Założycieli.

– Ho, ho, nawet Hrabinę Kamienia? – Moja matka i Hrabina strasznie się nienawidzą.

Cora uśmiecha się złośliwie.

– Nawet Hrabinę Kamienia.

Niemal czuję żal, że nie zostałem zaproszony. Chętnie popatrzyłbym, jak te dwie będą sobie dogryzać z zachowaniem wszelkich zasad protokołu, bo dla arystokracji protokół to rzecz święta. To będzie mistrzowski pokaz.

– No cóż... – mruczę. Nie wiem, co mam teraz ze sobą zrobić. – Powiedz może Annabelle, żeby przyniosła mi kolację do pokoju.

– Annabelle będzie teraz usługiwać surogatce – oznajmia Cora. – Powiem Williamowi.

A więc Lucien miał rację.

– Dobrze – rzucam, jakby w ogóle mnie to nie obchodziło, choć przecież obchodzi.

Ale... Ale Annabelle może mi pomóc z tą całą surogatką. Oczywiście nie powiem jej o Lucieniu, to się rozumie samo przez się, na pewno jednak będzie dobrym źródłem informacji.

Jest chwila po trzeciej i chyba wiem, gdzie podziewa się Annabelle. Schodzę na parter posiadłości i kieruję się do ogrodu, w stronę niewielkiej sadzawki z kolorowymi rybkami. Annabelle siedzi na ławce i przygląda się, jak wielobarwne rybki wyskakują ponad powierzchnię wody niczym fajerwerki. Na mój widok zrywa się na nogi i dyga.

– Słyszałem, że dostałaś nową pracę – rzucam. Potakuje. – Założę się, że surogatka będzie łatwiejsza w obsłudze niż ja.

Annabelle wzrusza ramionami. Spostrzegam, że jest zdenerwowana.

– Na pewno świetnie sobie poradzisz. – Po wyrazie jej oczu poznaję,

że bardzo chce mi wierzyć, ale jest przerażona.

1-szy raz

– A ja to co? Pies?

ona to nie ty

– Błagam – jęcę, siadając koło Annabelle. – Zajmowałaś się mną, od kiedy miałem dwanaście lat.

11

– Widzisz? – Annabelle się rumieni. Robi to podejrzanie często w mojej obecności.

Nie jako dwórka

– Och, więc wreszcie zostałaś dwórką?

Potakuje z wahaniem.

– Hej, a widziałaś ją już? To znaczy surogatkę?

Patrzy na mnie ponuro i potrząsa głową. Unoszę dłonie w geście kapitulacji.

– Po prostu jestem ciekawy. Nie martw się, nawet ja nie jestem tak szalony, żeby podrywać surogatkę. – To akurat prawda. Te surogatki... Czy one w ogóle wyglądają jak inne dziewczyny? Słyszałem, że mają jakieś dziwne moce. Może to zmienia ich ciała. Wyobrażam sobie śpiącą na górze surogatkę. Ma dwie głowy i błonę pławną między palcami.

Annabelle znów mierzy mnie spojrzeniem, a potem kiwa powoli głową, jakby doszła do wniosku, że mi wierzy.

– Więc teraz jestem skazany na Williama – mówię żałośnie. – Zawsze wybiera mi różowe krawaty. I nie umie parzyć kawy.

Annabelle chichocze.

George?

– Tak, George byłby o wiele lepszy. Mogłabyś może...

Energicznie potakuje. Całuję ją w policzek i czerwieni się jeszcze bardziej.

– Jesteś najlepsza, wiesz o tym, prawda? – Wstaję, żeby odejść, ale spoglądam jeszcze na Annabelle. – Hej, mogłabyś mi dać znać, o której surogatka będzie schodzić na kolację? Chciałem tylko zobaczyć, jak wygląda. To wszystko, obiecuję.

Dziewczyna patrzy na mnie podejrzliwie. Znów maluję palcem X na

piersi.

Spróbuję

– Dzięki. – Rzucam jej mój najbardziej czarujący uśmiech i wracam do pałacu, żeby zabić jakoś czas do wieczora.

Czekanie nieuchronnie prowadzi do picia whisky i słuchania muzyki z gramofonu.

Od jakiegoś czasu uwielbiam jedną dętą kapelę. Nazywają się Jolly Rogers i koleś, który gra na trąbce, jest niesamowity. Wsłuchuję się właśnie w jedną z jego genialnych solówek, kiedy do drzwi mojego pokoju puka Annabelle.

S jest na kolacji

– Co? – pytam zaskoczony. – Już?

Patrzy na mnie wzrokiem, który mówi jasno, że to nie jej wina, i wskazuje na wiszący na ścianie zegar. Jest dwadzieścia pięć po ósmej.

Wstaję. Ups. Dopiero teraz czuję, że wypilem sporo więcej whisky, niż zamierzałem. Niestety, jest już za późno, by coś na to poradzić.

Annabelle zostawia mnie i spieszy do pokoju surogatki, najpewniej po to, by pościelić jej łóżko. Zabieram szklankę i, potykając się lekko, sunę do jadalni. Na kolacje po Aukcji nie zaprasza się mężczyzn. Jestem pewny, że ojciec właśnie wędzi się w palarni.

Przed drzwiami jadalni nie ma służących, zakładam więc, że towarzystwo jest akurat pomiędzy kolejnymi daniami. Przykładam ucho do drzwi, łudząc się, że może usłyszę coś interesującego. Ale gadają wyłącznie arystokratki.

Oczywiście. Nie sądzę, żebym kiedykolwiek słyszał surogatkę wypowiadającą więcej niż zdanie czy dwa, chyba, że miała talent wokalny i akurat występowała.

Matka mówi coś tym swoim najbardziej uprzejmym, mrozącym krew w żyłach głosem, zakładam więc, że rozmawia albo z Hrabinią Kamienia, albo z Wybranką. Moje podejrzenia sprawdzają się, gdy odpowiada jej tubalny głos wielkiej Hrabiny.

– O tak, myślę, że zaczniemy od córki. Chłopcy potrafią być prawdziwym utrapieniem, prawda?

Auć. Mamusi się to na pewno nie spodoba. Słyszę chichot

Wybranki.

– A przy okazji, jak się miewa Garnet? Mam nadzieję, że nie wpakował się znowu w jakieś kłopoty?

Gdyby tylko wiedziała... Wstrzymuję oddech, czekając na odpowiedź matki.

– Jest w swoim pokoju, Wasza Wysokość. Uczy się.

Uczy się? Czy ona naprawdę wierzy w to, że którakolwiek ze szlachealnych dam uwierzy w takie wierutne kłamstwo?

Ale okazja jest po prostu wymarzona. Wiem, że nie powinienem, lecz bez głębszego zastanowienia, z rozmachem otwieram drzwi i wtaczam się do komnaty.

Dziesięć par oczu patrzy na mnie ze zdumieniem, od zdumienia lekkiego, po ogromne. Arystokratki wydają się rozbawione, surogatki zaś przerażone (i lekko, ośmielam się twierdzić, zaciekawione), moja matka zaś... Chyba byłaby w stanie zamrozić swoim spojrzeniem wodę.

– Matko! – wykrzykuję, unosząc szklankę. W jadalni jest pięć surogatek, którą jednak mam obserwować? O rany, powinienem jak najszybciej wymyślić powód, dla którego zakłóciłem ten cudowny raucik. – Drogie panie, najmocniej proszę o wybaczenie. Nie wiedziałem, że mamy w pałacu proszoną kolację. – O to matka nie może mnie winić, bo przecież ani słowem nie zająknęła się o tym wydarzeniu. Przyglądam się zebranym przy stole paniom i wreszcie ją zauważam.

Dziewczyna siedzi obok mojej matki, po jej prawej. Ma czarne, wijące się włosy, jasną, niemal perłową skórę i znakomicie skrojoną suknię (poznaję rękę Annabelle). Jej oczy zaś... Jej oczy są wściekle fioletowe.

– No tak, racja – dukam. – Aukcja.

Wybranka i Hrabina Kamienia niemal płaczą ze śmiechu w swoje serwetki.

– Garnet, kochanie – mówi matka. Zwraca się tak do mnie wyłącznie publicznie. – Co tu robisz?

Cóż, równie dobrze mogę odegrać moją rolę do końca.

– Och, nie zwracajcie na mnie uwagi – rzucam, lekceważąco

machając ręką. – Wpadłem po dolewkę.

Podchodzę do barku i nalewam sobie whisky. Matka zrywa się na nogi z energią zadającą kłam jej wiekowi.

– Wybaczcie na chwilę – mówi do gości, biorąc mnie pod ramię.

– Auć – mamroczę, gdy jej palce zaciskają się na mojej ręce. Matka zdecydowanie wyprowadza mnie z jadalni. Choć drzwi natychmiast się zamykają, i tak słyszę wypowiedź Wybranki.

– I właśnie dlatego, miłe panie, uważam, że Samotne Miasto powinno zostać oddane w ręce kobiet.

To trochę nie fair...

Matka tak mocno zbliża swoją twarz do mojej, że widzę blade piegi pod jej lewym okiem, tę drobną skazę, którą z takim poświęceniem stara się ukryć pod makijażem.

– Idź do swojego pokoju – rozkazuje mi. – I nie opuszczaj go, póki ci na to nie pozwolę.

– Naprawdę, matko? Znowu mam siedem lat?

– Nie mam pojęcia, Garnecie – syczy. – Zachowujesz się jak siedmiolatek. Jeśli jeszcze raz zawstydzisz mnie w obecności kobiet z Domów Założycieli, to podzielisz los mojej ukochanej siostry. Wiem, że nie tego pragniesz. Zgadza się?

– Tak.

– Więc... idź... do... swojego... pokoju.

Obraca się na pięcie, a ja prawie potykam się o własne nogi. Cały gniew niemal natychmiast znika z jej twarzy. Matka błyskawicznie zbiera się w sobie, przywołuje na usta miły uśmiech i wraca do jadalni.

Jak na ten jeden dzień chyba wystarczy.

Na szczycie głównych schodów spotykam Carnelian, która opiera się o poręcz ze swoją zwykłą, nadyndaną miną.

– Ciebie też nie zaprosiła? – pyta.

– A co miałbym tam robić? – odburkuję.

– A widziałeś ją przynajmniej? To znaczy surogatkę.

– Tak.

Carnelian patrzy na mnie wyczekująco.

– I? Jak ona wygląda?

– Jak dziewczyna, która siedzi przy stole i je kolację.

– Teraz nie mam już szans, żeby dostać Towarzysza – mówi ze złością Carnelian. – Wszystko będzie się kręcić wokół tej surogatki.

– Matkę stać i na surogatkę, i na Towarzysza – zauważam. – To nie kwestia pieniędzy. Nie dostałaś Towarzysza, bo za bardzo ci na tym zależy.

– To nie w porządku – irytuje się Carnelian. – Wszystkie inne dziewczyny mają Towarzyszy. I śmieją się ze mnie, bo...

– Nie jestem dzisiaj w nastroju, żeby wysłuchiwać twojego marudzenia – przerywam jej.

– Chciałam tylko...

Nie słucham, czego chciała. Mijam ją i szybkim krokiem ruszam do swoich komnat, w których z hukiem się zamykam, zachowując się jak siedmioletni chłopiec, za którego ma mnie matka.

Przez tę surogatkę, przez to stworzenie, które gapilo się na mnie jak sarna schwymana w światło przednich lamp samochodu, tylko wpakowałam się w kłopoty.

Już nienawidzę tego, do czego zmusił mnie Lucien.

Rozdział 4

Dzięki niech będą Hierarsze za Annabelle.

Annabelle chyba uważa, że moje zainteresowanie surogatką jest zupełnie niewinne. A może po prostu nie dostrzega, jak bardzo ciekawi mnie to, czym tak strasznie chce się ze mną podzielić. Tak czy siak, jej entuzjazm jest mi bardzo na rękę.

Nie widuję Annabelle tak często jak kiedyś, ale dzięki niej dowiaduję się rzeczy, o których w innym wypadku nie miałbym pojęcia. Surogatka lubi kawę. Surogatka gra na wiolonczeli. Surogatka czasem smutnieje.

Po raz drugi widzę obiekt mojego zainteresowania w dniu pogrzebu surogatki Wybranki. O nagłym zgonie dziewczyny wie cały Klejnot, nie musiałem więc nawet czekać na cynk od Annabelle. Dostrzegam surogatkę w oknie odjeżdżającego samochodu. Kiedy wsiada do auta, ma na sobie czarny welon, a moja matka prowadzi ją na smyczy. To... dziwne. Prowadzenie ludzi na smyczy jest dziwne. Nie sądzę, żebym był w stanie postawić się w sytuacji tej dziewczyny. Zastanawiam się, czy mogę o to zapytać Annabelle, czy byłoby to zbyt podejrzane.

– Rozmawiałeś już z nią? – indaguje mnie Carnelian, która obserwowała surogatkę przez okno swojej gotowalni.

– Myślisz, że matka dopuściłaby mnie blisko niej? – pryham.

– Nie – zgadza się Carnelian, splatając ramiona na piersi. – Nie sądziłam, że będzie taka... taka ładna.

Nigdy wcześniej nie patrzyłem na surogatkę w tych kategoriach. Chyba nie jest brzydka. Choć z drugiej strony Carnelian zawsze znajdzie coś, o co może być zazdrosna.

Czasami widuję surogatkę i Annabelle w ogrodach. Annabelle wpada też do mnie tego dnia, kiedy dziewczyna ma spotkanie z lekarzem, żeby powiedzieć mi, że się o nią niepokoi. Bardzo się o nią troszczy i choć ani trochę mnie to nie zaskakuje (Annabelle troszczyłaby się o rozdeptany kwiatek), to jednak jestem zdumiony własnymi uczuciami. Jej opiekuńczość działa mi na nerwy. Annabelle nie jest moja, ale... Ale chyba trochę za nią tęsknię.

Lucien odzywa się do mnie przez arkana, zazwyczaj późno w nocy. Mówię mu o lekarzu, ogrodzie, wiolonczeli... To niewiele, ale wydaje się, że to go satysfakcjonuje.

– Co jest w niej takiego wyjątkowego? – pytam go któreś nocy. – A może śledzisz wszystkie surogatki w Klejnocie?

– Oczywiście, że nie – prycha.

– Cóż, pewnie byłoby trudno szantażować wszystkich synów szlacheckich rodów – odpowiadam sucho.

– Nie tak trudno, jak ci się wydaje. – Oczyma wyobraźni widzę ten pewny siebie uśmieszek.

– Naprawdę? Na kogo masz haka? – Naprawdę chcę to wiedzieć. Jestem ciekaw, co wykręcił Peri.

– Miej oczy i uszy szeroko otwarte i mów mi o wszystkim, nieważne, jak błahe by ci się zdawało – instruuje mnie. Nigdy nie zdradza nic więcej.

Pewnego ranka matka wzywa mnie i Carnelian do gabinetu na parterze. To zły znak, kiedy chce widzieć nas razem.

– Pora, żebyście obydwójce wzięli ślub – oznajmia.

– Ze sobą? – Carnelian wygląda na śmiertelnie przerażoną.

No naprawdę... Można byłoby pomyśleć, że wychowała się w Bagnie, a nie w Banku.

– Błagam cię, Carnelian – wzdycha matka, wzdrygając się lekko. – Dopiero co zjadłam śniadanie. Szukam dla was odpowiednich partii. Najwyższa pora, żebyś przynajmniej ty – spogląda na mnie – się zaręczył. – Nie umiem sobie wyobrazić, żebym miał się zaręczyć z którąkolwiek ze znanych mi arystokratek, a co dopiero, żebym spędził z nią resztę życia.

– Na pewno mogę poczekać jeszcze...

Matka nie chce mnie słuchać.

– To nie podlega dyskusji. Carnelian, o trzeciej masz się zjawić w tej komnacie, żeby spotkać się z Panią Płomienia. Garnecie, jutro udasz się ze mną na herbatkę do Domu Kłódek.

Tym razem to ja się wzdrygam. Panna z Domu Kłódek ma trądzik, zeza i wielką miłością darzy obserwowanie ptaków.

– Och, Carnelian – dodaje matka, gdy otwieram drzwi, by opuścić

gabinet. – Jeśli mamy znaleźć ci odpowiedniego męża, musisz mieć Towarzysza. Powinien zjawić się tutaj dziś po południu.

Carnelian wygląda, jakby Najdłuższa Noc nadeszła w tym roku wyjątkowo wcześnie.

Tej nocy po raz pierwszy mam okazję bliżej poznać się z surogatką.

Na kolację przyjeżdża rodzina ojca. Lokaj zapowiada mnie wszystkim zebranych, bo zjawiłem się jako ostatni. Uwielbiam to. Matka nie jest zachwycona, ale przecież to ona nauczyła mnie, że spóźnianie się jest modne i właściwe.

Surogatka obserwuje mnie z taką miną, jakby się mnie bała. Zastanawiam się, czy chodzi jej o mnie, czy po prostu lęka się wszystkich zebranych.

– Matko, ojciec – rzucam, biorąc kieliszek szampana. – Czyżbym się spóźnił?

Mięsień na szczęce matki drga leciutko.

– Usiądziemy? – pyta radośnie ojciec.

Towarzysz, którego matka kupiła dla Carnelian, jest przystojny nawet jak na standardy Towarzyszy, a to już coś. Natychmiast czuję do niego antypatię. Carnelian nie mogłaby być bardziej zachwycona.

Ciotka Lolite natychmiast zaczyna drwić sobie z pochodzenia i wychowania Carnelian. Matka z chęcią dołącza do okrutnej zabawy.

– Widzę, że wreszcie załatwiłaś jej Towarzysza – mówię z ustami pełnymi buraków, bo nie mogę już patrzeć na zboląłą twarz kuzynki. Ocieram usta serwetką i wyciągam dłoń do siedzącego obok Carnelian mężczyzny. – Tak przy okazji, jestem Garnet.

Lubię się tak przedstawiać. Od niechcienia. Nie ma mowy, żeby facet o mnie nie słyszał. Jestem ciekawy, jak zareaguje.

– Ash Lockwood – odpowiada uprzejmie, ściskając moją rękę.

Hmmm. Nic. Zero rozpoznania. Niezły jest.

– Przystojniak z niego, prawda, kuzynko? – rzucam do Carnelian, a potem pytam: – Ile na niego wybuliłaś, matko?

Niestety, niedługo cieszę się irytacją matki. Dostrzegam tylko, jak skrzydełka jej nosa drgają lekko, a potem Towarzysz zręcznie zmienia temat rozmowy na bibliotekę mojej matki. Wszyscy możemy wysłuchać typowego przemówienia rodzicielki o Domach Założycieli,

ich historii, obowiązkach i innych wybitnie nudnych sprawach. Surogatka wydaje się być zainteresowana jedzeniem oraz Towarzyszem. Nie jestem pewien, czy bardziej jednym, czy drugim. Ani razu się nie odzywa. Może to dlatego, że siedzimy przy stole w wieloosobowym gronie, a ja jestem zmuszony przyglądać się bacznie surogatce pod karą bycia wydziedziczonym. Nagle uznaję, że milczenie tej dziewczyny jest dziwne. A jeszcze dziwniejsze jest to, że wszyscy zdają się nie widzieć w tym niczego niezwykłego. Carnelian może mówić, o czym tylko chce.

Nawet Towarzyszowi wolno się przedstawić i uścisnąć moją rękę.

Albo za dużo wina wypilem, albo za bardzo pogrążyłam się w myślach, w każdym razie gdy ciotka Lolite i matka zaczynają rozmawiać o kolejnej surogatce, która niedawno umarła, nagle zabieram głos.

– Czy dobrze słyszę, że zaczął się sezon polowań na surogatki? – pytam głośno. Bo przecież wszyscy wiedzą, że rywalizujące ze sobą Domy pozbywają się surogatek swoich konkurentów. Często zanim jeszcze te zajdą w ciążę. Ta dziewczyna jest tego świadoma, prawda? Może nawet cieszy się, że została kupiona przez Dom o tak wysokiej pozycji. – Lepiej się pilnuj, nowa dziewczyno. Ten rok zapowiada się morderczo. Malutka rączka malutkiego Hierarchy jest do wzięcia i nikt nie odpuści.

Matka podrywa się i wali dłonią w stół tak mocno, że aż podskakują sztućce.

– Natychmiast opuść jadalnię – rozkazuje mi.

Dopijam resztę wina i wstaję.

– Z przyjemnością – mówię i składam rodzicielce przesadnie skomplikowany ukłon. Ta kolacja jest jeszcze gorsza niż poprzednie, w których brałem udział. Nie lubię tak strasznie koncentrować się na setce różnych spraw, kiedy w rzeczywistości chcę się tylko najeść i upić.

Za drzwiami wpadam na pokojówkę Carnelian i Annabelle, która, widząc moje wzburzenie, podąża za mną do biblioteki niczym mały, biały cień. Opadam ciężko na jedną z kanap.

– Myślisz, że podmienili mnie przy urodzeniu? – pytam.

Patrzy na mnie z rozbawieniem.

– Nienawidzę mojej matki, a ojca w niczym nie przypominam. – Wyciągam się wygodnie i podpieram na łokciu. – W niższych kręgach dzieci przypominają przynajmniej swoich rodziców. Nie wydaje ci się to... normalne?

Wzrusza ramionami, po czym potakuje. Nie wiem nawet, skąd takie myśli przyszły mi do głowy. Zupełnie jakby obserwowanie surogatki prowokowało mnie do rozważania różnych spraw, na które wcześniej nie zwracałem uwagi. A przecież ta dziewczyna nic nie zrobiła. Nic. Tylko jadła i wyglądała na przestraszoną.

– Ona umie mówić, prawda? – dopytuję.

Annabelle pytająco unosi brew.

– Surogatka – uściślam. – Nigdy nie słyszałem, żeby powiedziała choć słowo.

Annabelle przewraca oczami, jakby nie mogła uwierzyć, że zadaję takie głupie pytanie.

Tak

– Jest... bystra? – Nie wiem, o co pytać. Po jakie лихо Lucien kazał mi robić coś takiego? Zastanawiam się, co mógłbym dodać. – Ona... Mówiłaś, że gra na wiolonczeli, prawda?

Kiedy wspominam o instrumencie, Annabelle przyciska dłonie do piersi i przybiera rozmarzony wyraz twarzy.

– Czyli jest dobra?

Uderza mnie lekko tabliczką.

Lepsza

– Lepsza niż dobra?

Kiwa głową. Wreszcie coś, co mogę przekazać Lucienowi. Surogatka świetnie gra na wiolonczeli oraz konsumuje jedzenie. Wspaniale.

– Miła jest? – rzucam. Nie jestem pewien, czy w ogóle mnie to interesuje.

Jedyną odpowiedzią na to pytanie jest szeroki uśmiech Annabelle.

Kilka dni później jestem po trzech spotkaniach z potencjalnymi przyszłymi żonami. Każda z nich niemal stanęłaby na rżęsach, żeby mnie poślubić.

Okazuje się, że to nie one, a ich szacowne rodzicielki są problemem.

– Głupia krowa – sarka matka, kiedy wracamy z Domu Liścia, po czym gwałtownym ruchem ściąga jedwabny szal i ciska go na podłogę holu. Cora zaraz go podniesie. – Za kogo ona się ma? Jak mogła nazwać cię renegatem i imputować, że jesteś niestabilny umysłowo? – Co za zaskoczenie. Nie słyszałem chyba wcześniej, żeby matka mnie broniła, zwłaszcza, że sama przy wielu okazjach twierdziła, że taki właśnie jestem. Niestabilny. Nie odzywam się. – Mam nadzieję, że na jutrzejszym Balu Hierarchy będziesz się prezentował i zachowywał nienagannie. Żądam tego – warczy, a potem ulatnia się do swoich prywatnych pokojów.

Wyglądanie nienagannie to moja druga natura, a co do zachowania... Cóż, niczego nie mogę obiecać.

Tej nocy dzwoni Lucien. Bzyczące nad łóżkiem arkana wrywają mnie ze snu.

Ziewając, opowiadam mu o kolacji i o tym, co Annabelle zdradziła mi na temat muzycznych talentów surogatki. Lucien wydaje się najbardziej zainteresowany pojawieniem się Towarzysza. To dziwne, domyślałam się jednak, że nie przepada za Towarzyszami ani im nie ufa.

– Chcę, żebyś na jutrzejszym balu coś dla mnie zrobił – oznajmia.

– Och, tylko jedną rzecz? No dalej, nie żałuj sobie – drwię, ale on ignoruje mój sarkazm.

– Chcę, żebyś wpadł na surogatkę i zniszczył jej fryzurę.

– Dlaczego?

– To w tej chwili nieistotne.

– O rany, daj spokój. Rozumiem, że nie możesz mi powiedzieć, po co ją obserwuję, ale jeśli mam nawiązać z nią, ekhm, fizyczny kontakt, to na serio przydałby się po temu jakiś sensowny powód.

Cisza. Bezgłos mojej pogrążonej w mroku sypialni przerywa tylko ledwo słyszalne buczenie kamertonu. A jednak czuję, jak po drugiej stronie Lucien się zastanawia.

– No dobrze – stwierdza wreszcie. – Chcę jej dać arkana. Niestety, zrozumiałem, że tylko w ten sposób mogę być na bieżąco z tym, co

się z nią dzieje.

– Super! – parskam. – Więc jej dasz arkana, a mnie święty spokój.

Lucien chichocze cicho.

– Przykro mi, ale nie.

Powinienem być się tego spodziewać. Tak łatwo się ode mnie nie odczepi.

– No dobrze, ale co ma wspólnego rozwalenie jej koafiury z przekazaniem kamertonu?

– To już nie twoje zmartwienie. Zobaczymy się jutro wieczorem. – Arkana milkną i spadają na kołdrę.

Wciskam głowę w poduszki i przeklinam Cyan oraz dzień, w którym ją poznałem.

Rozdział 5

Wiem, że na bal przyjdzie mi jechać samochodem razem z Carnelian i jej Towarzyszem.

Nie umiem sobie wyobrazić bardziej wyrzygliwego towarzystwa, opuszczam więc pałac wcześniej i jadę do Periego, żeby przygotować się do imprezy razem z nim.

Peri nalewa nam po drinku, a ja w tym czasie wiążę muchę. Zacząłem to robić, mając dwanaście lat i, nie chwaląc się, osiągnąłem perfekcję. Ojciec był w tym beznadziejny, musiałem prosić jednego z Gwardzistów, by pokazał mi co i jak. Jeśli się nie mylę, to był Pierwszy. Kilka lat temu odszedł na emeryturę.

– Słyszałem, że będziesz miał małą siostrzyczkę – rzuca Peri. – I żonę?

– Ugh. – No jasne, po tym, jak spotkałem się z tymi trzema dziewczynami, wieści zaczęły się szerzyć niczym pożar lasu. – Nawet mi nie przypominaj. Ani o jednym, ani o drugim.

Peri upija łyk alkoholu.

– Hej, a może za parę dni znów się wybierzemy do tego klubu? Cyan chyba naprawdę poczuła do ciebie miętę.

Puszczą do mnie oko, jakby oczekiwał, że uszczęśliwią mnie wieści o tej dziewczynie. Wiem, że Cyan coś do mnie ma. Coś bardzo, bardzo niebezpiecznego.

– Może – rzucam niezobowiązująco. – Szczerze mówiąc, to ona średnio mi się podoba.

– Co? Przecież tak się do siebie kleiliście!

Wzruszam ramionami, a w oczach Periego pojawia się błysk zaciekawienia.

– Jesteś zainteresowany jakąś inną panną?

Gdyby tylko wiedział, kim się interesuję... I że robię to na zlecenie dwórki.

– Nie – oznajmiam dobitnie. – A poza tym, jaki w tym sens? Skoro i tak zaraz mam się ożenić.

Peri wzrusza ramionami.

– To, że masz się chajtnąć, nie oznacza, że nie możesz się dobrze bawić. Wiem, że matka cały czas zdradza ojca. Głównie z Gwardzistami, czasem z lokajami, a raz nawet...

– Okej, rozumiem – przerywam mu, wzdrygając się. Nie chcę wyobrazać sobie Pani Strumienia w niedwuznacznej sytuacji z Gwardzistą albo kimkolwiek innym. Peri parska śmiechem.

– Chodzi mi tylko o to – ciągnie – że nie musisz być wierny swojej żonie. Po prostu nie sypiaj z niewysterylizowanymi kobietami i tyle.

Powinno mnie to podnieść na duchu, ale mam raczej ochotę wziąć gorący prysznic.

– Ależ to romantyczne, Peri – kwituję sucho.

W drodze na bal wpadamy po Jaspera i kilku innych chłopaków. Żaden z nas nie chciał jechać na przyjęcie z rodziną. W sali dostrzegam matkę. Rozmawia z Hrabinią Róży. Jej surogatka stoi cicho obok. Ojciec wcisnął się w kąt z wujem Berylem i obydwaj są na najlepszej drodze do upicia się. Szumi mi w głowie, ale potrzebuję kolejnej porcji alkoholu, jeśli mam zrobić to, co mam zrobić. Nigdzie nie widzę Luciena, nie byłbym jednak zaskoczony, gdyby okazało się, że obserwuje nas wszystkich z jakiegoś sekretnego pokoju.

Surogatka ma na głowie nieprzeliczoną ilość spinek. Annabelle odwaliła kawał dobrej roboty. Fryzura jest elegancka, a jednak subtelna. Najlepiej chyba będzie, jeśli jedną z tych spinek wyciągnę.

Dwie szklanki whisky i cztery kieliszki szampana później dostrzegam znakomitą okazję do działania. Towarzysz prosi matkę na parkiet, a surogatka zostaje tylko z Carnelian i Hrabinią Róży. Lucien wciąż się nie pojawił, ale nie mam zamiaru dłużej czekać. Zniszczę dziewczynie fryzurę i po sprawie.

Łapię Periego za rękę i zaczynam z nim tańczyć, przedzierając się przez tłum. Nasi koledzy lecą za nami. Kiedy docieramy do Hrabiny Róży, puszczam Periego, robię dwa niezdarne kroczyki i wpadam na surogatkę. Dziewczyna upuszcza szampana.

– Och! – wykrzykuje, gdy wyszarpuję kilka spinek z jej fryzury i pozwalam im upaść na podłogę.

– Garnet – warczy Hrabina Róży. Jasper, Peri i inni wbijają wzrok w czubki własnych butów, onieśmieleni obecnością arystokratki z Domu

Założycieli. Ale mnie to nie rusza, w końcu ja również szczycę się takim pochodzeniem. A poza tym udało mi się! Zrobiłem to! Dotknąłem surogatki i nikt nie grozi, że obetnie mi łapy.

Poza tym Hrabina Róży mnie nie przeraża.

– Moje najszczerze przeprosiny, Jaśnie Pani – mówię, kłaniając się. Wiem, że koledzy są pod wrażeniem. – Nie zauważyłem pani.

– Czy to naprawdę takie trudne nie robić z siebie pośmiewiska? – pyta Hrabina. – Nie sądzisz, że twoja matka ma wystarczająco wiele na głowie?

– Chodzi o zbliżające się zaślubiny? Czy o brak tychże? – Parskam śmiechem. – Kto by pomyślał, że to – wskazuję swoją twarz – będzie tak trudno sprzedać.

Jasper z trudem tłumi śmiech. Nawet Carnelian krzywo się uśmiecha.

– Ale z ciebie świnia – zauważa.

– A ty, droga kuzynko, jesteś towarzyską katastrofą, ale kogo to obchodzi?. – Z tacy przechodzącego akurat kelnera biorę kolejny kieliszek szampana. Muszę przyznać, że trochę ponosi mnie entuzjazm. Nikt nie podejrzewa, że celowo wpadłem na surogatkę. Czuję się jak jakiś superszpieg. – Założę się z tobą o dziesięć tysięcy diamentów, że Diusza prędeż znajdzie mi żonę niż tobie męża.

Carnelian znów się krzywi.

– Nie mam dziesięciu tysięcy diamentów.

Kątem oka widzę w tłumie mignięcie bieli. Lucien wreszcie się pojawił. Pora opuścić moją cudowną rodzinę i po prostu cieszyć się imprezą. Najlepiej tak daleko od surogatki, jak to tylko możliwe.

– Racja. – Obracam się do moich znajomych. – Zbierajmy się stąd, zanim jej czarowna wysokość przyplynie tu z parkietu. Na tyłach sali jest ogród.

– Garnet – rzuca Jasper, kiwając głową w stronę jedynej osoby, której nie chcę już nigdy widzieć na oczy. – Nie masz zamiaru przeprosić?

Surogatka stoi jak wmurowana, a oczy ma szeroko otwarte. Podejrzewam, że dzielimy jedno pragnienie. Żebym poszedł stąd w diabły.

– Za co? – pytam, patrząc na dziewczynę, jakbym ledwie kojarzył, kim jest. Lucien jest coraz bliżej, widzę jego koczek. – A! To tylko surogatka mojej matki. Chodźmy stąd.

Czuję się dziwnie, traktując ją w ten sposób. Czyżby to było poczucie winy? Szybko jednak otrząsam się z nieprzyjemnego wrażenia i prowadzę kolegów przez salę balową. Nie zatrzymuję się, póki nie wychodzimy na zewnątrz, na chłodne, nocne powietrze. Znajomi natychmiast zaczynają się wydurniać, robiąc nieprzyzwoite gesty w kierunku posągu nagiej kobiety. Udaję, że jestem zalany w trupa i ciężko siadam na ławce.

Dlaczego akurat mnie to spotkało? Jasne, to nawet dość zabawne, ale jednak również niebezpieczne i męczące. Przyjęcia powinny być okazją do beztrioskiej zabawy.

Opieram głowę o ścianę pałacu i gapię się w gwiazdy, które wyglądają jak rozrzucone na aksamicie diamenty.

Tej nocy widzę surogatkę raz jeszcze, w trakcie występów artystycznych.

Arystokratki lubią się chwalić swoimi nabytkami zaraz po tym, jak je kupią. Surogatka Diuszesy Łusek jest tancerką. Nudy. Potem matka oznajmia, że jej surogatka zagra na wiolonczeli i wszyscy musimy grzecznie podreptać do stanowiska orkiestry.

No to wreszcie przekonam się, o czym mówiła Annabelle.

Surogatka wydaje się zdenerwowana, gdy wchodzi na podwyższenie i ustawia wiolonczelę. Lucien nieźle ukrył kamerton, bo nie mogę go dostrzec.

A potem zapominam o arkanach, o Lucienie i w ogóle o wszystkim, bo dziewczyna zaczyna grać i... Nie wiem. Nie jestem specjalnym wielbicielem instrumentów smyczkowych, ale w tej muzyce jest coś upiornego, podnoszącego na duchu i bardzo osobistego zarazem. Surogatka nie wygląda już na przestraszoną czy onieśmiałą. Wygląda, jakby kompletnie zapomniała o tym, gdzie i po co się znajduje. Przyglądam się, jak gra, otoczona arystokratami, których oczy błyszczą jak oczy drapieżnych ptaków. Prawie każdy z gości ma nadzieję, że surogatka zawiedzie, pomyli się, że będą mogli ją wyśmiać. Mam wrażenie, jakbym patrzył na zamkniętą w klatce

jaskółkę, na coś młodego i niewinnego, trzymanego w zaciśniętych mocno, zachłannych dłoniach.

A potem myślę, że może ja też siedzę w klatce, tylko ta moja klatka jest o wiele większa. Tak wielka, że nie dostrzegam nawet, że nie jestem wolny.

Kiedy muzyka milknie, wybuchają gorące oklaski i nagle wracam do rzeczywistości, zawstydzony emocjami, które buzują mi w piersi. Dostrzegam, jak dziewczyna dotyka lekko czubkami palców miejsca, gdzie pod żebrami bije jej serce i zastanawiam się, co to oznacza.

A potem odwracam się, bo nie chcę wiedzieć. Nie chcę, żeby mnie to obchodziło. Dołączam do kolegów i udaję, że jestem jednym z nich, że mnie również nudzą te występy. Kiedy Peri krzywi się na wieść, że przyjęcie wróci na właściwe tory dopiero po występie licha wie, ilu surogatek, przewracam oczami i kiwam zgodnie głową.

Zastanawiam się, ileż to razy ja sam się tak krzywiłem.

Dokładam wszelkich starań, by przez resztę tej nocy zupełnie ignorować surogatkę.

Rozdział 6

Przez kilka kolejnych dni nie widuję surogatki, za to Annabelle częściej mnie odwiedza.

Mówi mi, że matka pozwoliła surogatce swobodnie poruszać się po pałacu. Lucien na pewno będzie tym zainteresowany. Ale jest coś jeszcze... Coś, o czym Annabelle mi nie mówi. Zawsze potrafiłem wyczuć, kiedy coś przede mną zataja, bo wydyma wtedy wargi i zaczyna drapać się lekko pod prawym uchem. Nie naciskam jej. Nie chcę, żeby wpadła w kłopoty.

Któregoś dnia do pałacu zostaje dostarczona nowa wiolonczela. Po co? Nie wiem. Czyżby coś stało się z poprzednią? Może surogatka najpierw została ukarana, a potem dostała prezent? To by było bardzo w stylu mojej matki.

Pewnego wieczora, kiedy akurat relaksuję się w jednym z gabinetów na piętrze, przychodzi do mnie Annabelle.

D chce cię zobaczyć

– Ale ja niczego nie zrobiłem – zarzekam się.

Annabelle uśmiecha się kącikiem ust. Dopiero teraz spostrzegam, że przez ramię ma przewieszoną moją marynarkę. Natychmiast się spinam.

– Co się dzieje? – pytam.

Wzrusza ramionami i opuszcza wzrok.

– Następna potencjalna małżonka? – indaguję z nielekką obawą.

Kolejne wzruszenie ramion.

Nie spóźnij się

– Wiem, wiem – mamroczę, wiedząc, że jeśli nie stawię się na czas, cała wina spadnie na Annabelle. Dziewczyna podaje mi marynarkę, pomaga mi ją przywdziać i strzepuje z klapy jakiś ledwie widoczny paproszek.

Bądź miły

– Przecież zawsze jestem miły – mówię, trzepocząc rzęsami. Annabelle znów się uśmiecha, tym razem szeroko.

W drodze na dół mijam salę koncertową. Dźwięki muzyki słyszę

nawet przez zamknięte drzwi. Przystaję, zastanawiając się, czy nie zajrzeć do środka, ale wtedy muzyka milknie, a ja odzyskuję zdrowe zmysły i kieruję się w stronę foyer.

– Dokąd tym razem? – pytam matkę, gdy samochód rusza w stronę bramy.

– Dom Dolin – odpowiada krótko.

– Coral – domyślam się. Widziałem dziewczynę na kilku balach i przyjęciach. Nie jest brzydka. Ale nie jest też interesująca.

– Nie mam zamiaru wysłuchiwać twoich narzekań. Nie dzisiaj – oznajmia matka. A potem pociera czoło.

– Ojciec znowu przyprawił cię o ból głowy? – rzucam. – A może tym razem to była surogatka?

– Obydwoje.

Przez chwilę milczę, zaskoczony tym, że w ogóle mi odpowiedziała. A potem postanawiam sprawdzić, czy nie da się z niej wyciągnąć czegoś jeszcze.

– Jak wam idzie? To znaczy... No, ze wszystkim. – Nie wiem, jak to nazwać. Z robieniem dziecka? Brzmi koszmarnie.

Matka mierzy mnie przeszywającym spojrzeniem.

– Dlaczego pytasz?

– Bez powodu – zapewniam szybko. – Po prostu... Dziwnie będzie mieć w tym pałacu dziecko.

Ku mojemu bezbrzeżnemu zdumieniu, matka uśmiecha się. I to takim prawdziwym, szczerym uśmiechem, a nie tym upiornym grymasem, którym mnie zazwyczaj obdarowuje, tym, na którego widok człowiek zaczyna sobie wyobrażać kapiący z kłów jad.

– Tak – mówi. – Myślę, że będzie dziwnie.

W jej nieskrywanym entuzjazmie jest coś niepokojącego.

– No więc, hmmm... Jest w ciąży?

– Będzie. Już niedługo.

Przez resztę drogi żadne z nas się nie odzywa.

Przed pałacem Dolin rozpościera się jezioro, po którym pływają łąbędzie, piękne, białopióre stworzenia, które z gracją rozcinają wodę, nieświadome tortur, jakie przeżywam. Ależ im zazdroszczę. Nikt nie zmusza ich do ożenku w jakże młodym wieku lat dziewiętnastu.

Wszystko w tym pałacu ma jakiś związek z ptakami. Wszystko. Lampy, wazy, malowidła, kandelabry, poduszki... Nawet żyrandol w jadalni ma kształt jaskółki w locie, a sztuce zdobione są głowami kaczek.

Pani Dolin wita nas wylewnie, całując moją matkę w obydwie policzki. Na szczęście mnie tylko ściska za rękę. Coral wygląda uroczo w blad różowej sukni, z jasnymi lokami spływającymi luźno na plecy i ramiona.

Lunch przebiega lepiej, niż mógłbym się spodziewać, głównie dzięki matce i gospodynie, które zdejmują ze mnie trud konwersacji. A poza tym na danie główne jest pieczony bażant, którego uwielbiam, podany z sosem śliwkowym i doprawionym truflami purée z ziemniaków. Tak długo, jak mogę się opychać i nic nie mówić, jestem absolutnie kontent. Coral bierze maleńkie kęsy potrawy i po każdym ociera usta serwetką. Popatruję na nią znad talerza, zastanawiając się, jakby to było ją pocałować. Nie mogę wykrzesać z siebie żadnych uczuć wobec siedzącej obok dziewczyny poza umiarkowaną ciekawością.

– Ale Pearl, jego reputacja, cóż... Wszyscy o niej wiedzą – mówi Pani Dolin.

– Twoja córka też jest dość znana – odparowuje matka.

– Uwielbiam, kiedy mówią o nas, jakby nas tu nie było – mówię półzartem do Coral. Dziewczyna szeroko otwiera oczy, po czym wkłada do ust idealnie odmierzoną ilość bażanta z ziemniakami. Przetyka i ociera wargi. – Pssst, masz jeszcze trochę w kąciku – szepczę i... Nie, to dziwne. Coral szoruje się serwetką z taką energią, jakbym właśnie oznajmił, że wyskoczyła jej gigantyczna brodawka. – Już, już nic nie ma – zapewniam ją i patrzę na mój własny talerz.

Cóż, chyba powinienem wykreślić poczucie humoru z listy jej potencjalnych zalet.

– Z czegoż to niby znana jest moja córka? – pyta ostro gospodynie.

– Z prostoty i braku wyrafinowania – oznajmia matka konwersacyjnym tonem i upija długi łyk wina. – Nie jest w żaden sposób... wyjątkowa.

– Jest piękna.

– Och, błagam cię! Mój syn też jest piękny.

– I jest miła w obyciu.

– Naprawdę? – Matka unosi brew i spogląda na Coral, która cofa się na swoim krześle. Nie mogę jej za to winić, nie wychowała się w Pałacu Jeziora. – Jej obecność nie sprawia mi jakiejś wielkiej przyjemności. Zdaje się niema jak te ptaki, które pływają w sadzawce przed wejściem.

– Jest...

– Lapis, podarujmy sobie dalszą dyskusję o tym, które z naszych dzieci jest cudowniejsze. Obydwe wiemy, że wygram, bo mój Dom to Dom Założycieli. Potencjalne małżeństwo nie mnie przyniesie korzyść, ale tobie. Wybrałam twój dom. Twoje wnuki będą książętami. O czym tu jeszcze deliberować?

– O Wybrance – odpowiada Pani Dolin. – Domyślam się, że wiesz, jakie uczucia wobec ciebie żywi.

Ta kobieta jest odważniejsza, niż przypuszczałem. Ja bym nie śmiał wspominać o Wybrance. Coral zamarła na krześle i tylko patrzy to na jedną, to na drugą kobietę.

Matka wybucha wysokim, okrutnym śmiechem.

– Naprawdę myślisz, że przejmuję się tą szmatą z Banku?

Coral upuszcza widelec i wydaje z siebie niemy okrzyk. Moja matka wbija w nią wzrok.

– Tak – cedzi. – Nazywam ją szmatą z Banku. Bo jest szmatą z Banku. Nie przeraża mnie. A czy ja przerażam ciebie, dziecko?

Coral bez słowa kiwa głową. Na wargi mojej matki wypływa uśmiezek.

– To dobrze – stwierdza i znów obraca się do Pani Dolin. – Jeśli tobie pasuje taki układ, to mnie tym bardziej. To wzmocni obydwu, twój i – namyśla się ostentacyjnie – mój Dom. – Zwraca się do Coral. – Jak sądzisz, moja droga? Chciałabyś być następną Diuszesa Jeziora?

– Och... Och tak, wasza miłość. Bardzo, wasza miłość. – Głowa Coral kiwa się, jakby ktoś pociągał za sznurek.

– A mnie wolno wyrazić zdanie na ten temat? – pytam.

– Nie – odparowuje matka, nawet na mnie nie patrząc. Wstaje, a ja zdążam jeszcze wepchnąć do ust ostatni kawałek pysznego bażanta, nim chwytą mnie za łokieć i niemal wlecze w stronę drzwi.

Nagle zatrzymuje się i, korzystając z dramatyzmu chwili, oznajmia głośno:

– Oczekujemy odpowiedzi do godziny jedenastej dzisiejszego wieczora. Nie później. Później propozycję uznamy za niebyłą.

Zanim matka wyciąga mnie poza jadalnię, macham jeszcze przepraszająco Coral.

– Ty i ta twoja cholerna reputacja – wścieka się matka, kiedy szofer otwiera nam drzwi samochodu. Wiem, że myśli o tym samym, co i ja. Mogło pójść o wiele gorzej. Klejnot wie tylko tyle, że jestem niespokojnym, arystokratycznym duchem ze słabością do dobrych imprez. Gdyby ktokolwiek wiedział o Cyan... Byłoby po mnie. Wtedy nawet zezowata panna z Domu Kłódek nie chciałaby mnie za męża.

– Lucien dotrzymał słowa – mówię, kiedy wyjeżdżamy na główną drogę.

– Dzięki niech będą Hierarsze. – Matka wyciąga z torebki puderniczkę i nakłada puder pod oczy. Za oknami samochodu przemykają kolejne pałace. – Jeśli Lapis się nie zgodzi, będziemy musieli spróbować z domami drugiej kategorii. Miejmy nadzieję, że zrobisz dobre wrażenie.

– Prawie się nie odzywałem.

– Właśnie dlatego mam taką nadzieję.

Tego wieczora postanawiam zjeść kolację u siebie.

Jeden posiłek z matką dziennie wystarczy aż nadto. Kiedy jednak drzwi do moich komnat się otwierają, w progu nie stoi George, tylko Annabelle.

– Hej – witam ją, czując przyływ optymizmu. – Nie zajmujesz się dzisiaj surogatką?

Potrząsa głową. Dopiero wtedy dostrzegam, że oczy ma lekko wilgotne.

– Co się stało? – dopytuję.

Annabelle odstawia tacę na mój stół śniadaniowy i podaje mi grubą, kremową kopertę. Woskowa pieczęć jest złamana, dostrzegam jednak herb Domu Dolin.

Moja najdroższa Pearl, czytam. Coral z wielką radością przyjmuje oświadczytny twego syna. Raz jeszcze dziękuję za dzisiejszą wizytę.

Nie mogę się doczekać dnia, w którym nasze domy połączą się poprzez to piękne małżeństwo. Oddana, Lapis, Pani Dolin.

Zatapiam się w miękkiej sofie, ledwie zauważając, że Annabelle usiadła obok mnie. Pokój wiruje. I podejrzenie małego w nim powietrza. Niech ktoś powie, że to się nie dzieje naprawdę.

Jakaś część mnie miała nadzieję, że to szukanie mi żony służy tak naprawdę ukaraniu mnie. Myślałem, że znalezienie kogoś, kto mnie zechce, zajmie więcej czasu. Myślałem...

Dopiero, gdy czuję ciepło, spostrzegam, że Annabelle wzięła mnie za rękę. Nie musi używać tabliczki, żeby powiedzieć, jak bardzo jej przykro. Widzę to w jej oczach.

– To... To mi się nie śni?

Annabelle smutno kręci głową. Czytam list po raz drugi. Nawet nie jest od Coral. I nawet ze sobą nie rozmawialiśmy. Niczego o niej nie wiem. I co? I teraz mam spędzić z tą dziewczyną resztę życia?

– Nie chcę tego – wyznaję drżącym głosem. To do mnie niepodobne.

Annabelle siada bliżej i kładzie mi dłoń na ramieniu tak samo, jak robiła, gdy miałem dziesięć lat, rozciąłem rękę i lekarz musiał założyć mi szwy.

– Nie mogę się ożenić – oznajmiam, wstając gwałtownie. Zaczynam niespokojnie krążyć po pokoju. – Nie z nią. A zresztą nie chodzi tylko o nią. Ja mam dziewiętnaście lat! – Nie, żeby to miało w Klejnocie jakiegokolwiek znaczenie. Matka Jaspera już od roku próbuje go ożenić, a moja własna wyszła za ojca, mając lat szesnaście. Ale wiedzieć o tym, że coś ma się zdarzyć w przyszłości, to nie to samo, co stanąć z tą przyszłością oko w oko. – Nie może mnie do tego zmusić. Nie może.

Może Wiem. Oczywiście, że wiem. Może zrobić, cokolwiek się jej podoba. W końcu jest Diuszesa Jeziora.

– Może mógłbym udawać jakąś straszną chorobę – myślę głośno. – Najlepiej coś zaraźliwego, wtedy...

Annabelle patrzy na mnie z lekkim politowaniem.

Nie zadziała

– Muszę coś zrobić – gorączkuję się. – Ona chce mi odebrać

wolność!

Annabelle wzdycha i, wyraźnie zirytowana, pochyła się nad tabliczką. Przez kilka chwil pisze.

Jaką wolność? Nigdy nie byłeś wolny. Wiedziałeś, że się ożenisz!

– No dobra, to przynajmniej się łudziłem – mamroczę.

Uśmiecha się do mnie smutno.

– A może chcesz się ze mną zamienić? – rzucam.

Annabelle parska śmiechem, ale na jej policzek spływa łza. Dziewczyna ociera ją z zakłopotaniem.

Byłbyś okropną dwórką

Nie mogę się nie uśmiechnąć. Siadam koło Annabelle i znów wgapiam się w kopertę.

Milczymy.

– Więc... – bąkam wreszcie, obracając papier w dłoniach – Możemy to spalić?

Annabelle natychmiast rozpala ogień w moim kominku. Podaję jej kopertę, a sam biorę list. Kiedy płomienie strzelają wysoko, oddajemy im drogi papier i patrzymy, jak zwija się w żarze i dymie.

Wzdycham. Spalenie listu nie zmienia mojej sytuacji.

– Zostaniesz na trochę? – pytam.

Uśmiecha się nieśmiało i kiwa głową. Nagle w jej oczach pojawia się błysk.

Halma?

Jęczę.

– No dobra, niech będzie. Ale tym razem cię pokonam, obiecuję! Sama zobaczysz.

Annabelle tylko się szczerzy.

Rozdział 7

Przez kolejne dwa dni pałac pogrąża się w chaosie przygotowań do mojego zaręczynowego przyjęcia.

Na szczęście matka pozwala mi nie wychylać nosa z pokoju i nie pyta mnie o zdanie w sprawie doboru zastawy, kompozycji kwiatowych i innych podobnych błahostek. Jest o wiele bardziej podekscytowana tym wydarzeniem niż ja. W pałacu aż huczy od plotek. Idę o zakład, że cały Klejnot żyje wieścią o moim rychłym ożenku.

Tym razem wcale nie chcę być w centrum zainteresowania.

Annabelle musi być zajęta surogatką, bo wcale jej nie widuję. Z drugiej strony jednak właściwie nie wychodzę z pokoju.

W dniu imprezy George przynosi mi lunch i pyta niepewnie:

– Nie chciałby panicz przejść się po ogrodzie? Zaczerpnąć świeżego powietrza?

Rzucam mu ponure spojrzenie, a on prędko się wycofuje. Najpewniej wraca do kuchni, w której, jestem tego pewien, zebrała się większość służących, żeby bez krępacji o mnie plotkować. Pewnie świetnie się bawią. Rebeliancki synalek został wreszcie wzięty pod but i zmuszony do przestrzegania zasad.

Ostatnią wiadomością z Domu Dolin był ten przeklęty list. Potem się nie odzywali. Co ja właściwie mam powiedzieć Coral? Zazwyczaj spotykam się z dziewczynami z Banku i flirt przychodzi naturalnie, bo wiem dobrze, że te dziewczyny mnie pragną. Ale Coral też mnie chce, prawda? Przecież jestem Garnetem z Domu Jeziora. Jestem bogaty. Jestem przystojny. Mam tytuł... A jednak czuję się zdenerwowany, a mięśnie brzucha zaciskają mi się kurczowo. Ochlapuję twarz zimną wodą i przyglądam się sobie w łazienkowym lustrze.

– Dasz radę – mówię sobie. – To tylko jedna noc.

Ale to nieprawda. To nie jedna noc, ale całe moje życie.

Dla uspokojenia nalewam sobie trochę whisky. Nie pomaga. Kiedy George wraca, by pomóc mi się ubrać, jestem mokry od potu.

Lokaj zapina mi spinki od mankietów i bez słowa narzuca na mnie

smoking, a potem strzepuje z materiału ostatnie drobinki kurzu. Muchę wiąże sobie sam. Doceniam milczenie George'a, bo w tej chwili zupełnie nie mam ochoty na rozmowę. Nie tylko w tej chwili. Nie wyobrażam sobie, żebym miał odezwać się przez resztę nocy. A przecież muszę zejść na dół, uśmiechać się i udawać, że te zaręczyny to najcudowniejsze, co spotkało mnie w życiu, choć wolałbym zamknąć się w swoich komnatach. I nie wychodzić z nich aż do śmierci.

– Gotowe, sir – oznajmia George. Obydwaj patrzymy na moje odbicie w wysokim lustrze.

– Świetna robota – mówię. Gardło mam ściśnięte. – Dziękuję.

Lokaj waha się przez chwilę.

– Zostawię pana na chwilę, sir – proponuje cicho.

Kiwam głową. Kiedy wychodzi, biorę kilka głębokich oddechów.

– Nie bądź takim tchórzem – nakazuję sobie głośno. Przywołuję na twarz szeroki uśmiech i opuszczam komnatę.

George czeka na mnie za drzwiami. Podejrzewam, że matka kazała mu odprowadzić mnie do sali balowej, żeby mieć pewność, że nie ucieknę. Pan i Pani Dolin już na nas czekają. Coral oczywiście im towarzyszy. Tego wieczoru jej loki robią jeszcze większe wrażenie. Kiedy dziewczyna patrzy na mnie i mruga wielkimi niebieskimi oczyma, przywodzi mi na myśl porcelanową lalkę.

– Dobry wieczór – witam się z Coral, kłaniając się nisko. – Mój panie, moja pani.

Matka wygląda na usatysfakcjonowaną. Nie wiem, czego właściwie się spodziewała. Ja naprawdę potrafię się zachować.

Okazuje się, że ani po mnie, ani po Coral nie oczekuje się udziału w dyskusji. Matka i Pani Dolin debatują o tym, gdzie i kiedy powinien odbyć się ślub i na czyich barkach spocznie ciężar większości przygotowań. Usiłuję się wyłączyć i myśleć o czymś innym. Nie mogę. Nic nie przychodzi mi do głowy. Moja przyszła żona stoi tuż obok, a ja nie potrafię wymyślić bodaj jednego tematu do rozmowy.

Jakiś czas później zaczynają się zjeżdżać goście, więc uwaga matki zwraca się w ich stronę. Przede mną i Coral formuje się kolejka ludzi chcących nam pogratulować. Ciągłe słyszę tylko różne wariacje

banatów w stylu „ach, gratuluje” i „cieszę się waszym szczęściem”. Puste słowa pustych ludzi. Połowę z nich interesuje tylko to, że otrzymali zaproszenie od Diuszesy. Druga połowa najpewniej liczy na to, że wykręcę jakiś numer i będzie o czym plotkować.

Podchodzi do nas Carnelian ze swoim Towarzyszem.

– Chyba jestem ci winna dziesięć tysięcy diamentów – rzuca z uśmiechem, tuląc się do ramienia partnera. Najwyraźniej świetnie się bawi. To nietypowa sytuacja. Zazwyczaj to ja mam ubaw, a ona czuje się parszywie.

– Daruję ci to kuzynko – oznajmiam. – Nie chcę, żebyś w jednej chwili straciła cały swój majątek.

Przez jej twarz przebiega cień i nagle robi mi się głupio. Ale... Przecież nie mogła się spodziewać, że nie odgryzę się jej, gdy mnie obrazi.

– Przyjmijcie moje życzenia szczęśliwego pożycia – mówi Towarzysz i z trudem powstrzymuję się, by nie przewrócić oczami.

– Dziękuję, panie Lockwood – odzywa się Coral. Skąd ona w ogóle zna jego nazwisko? Ja go nie pamiętałam, a przecież gość żyje pod moim dachem. Nagle spostrzegam, że wiele kobiet śledzi Lockwooda spojrzeniem.

Naprawdę nie rozumiem, co jest takiego wyjątkowego w Towarzyszach.

Carnelian i Lockwood odchodzą, zwalnając miejsce kolejnym gościom z ustami pełnymi frazesów. Uśmiechając się fałszywie i ściskając dłonie, jednym uchem słucham urywków toczących się nieopodal rozmów.

– ...widziałam jeszcze dzisiaj.

– Myślisz, że jest w ciąży?

– Nie, słyszelibyśmy o tym.

– Podobno Wybranka coraz bardziej się denerwuje.

– Nonsens. Jej Wysokość nie ma się czym martwić.

– Ale jeśli Diuszesa chce, żeby jej córka poślubiła...

W tym momencie zjawiają się Hierarcha z Wybranką. Wszyscy kłaniają się i dygają, a rozmowy milkną. Kobiety, które podsłuchałem, natychmiast ruszają w stronę jej wysokości. Mam wrażenie, że

dyskutowały o surogatce mojej matki.

Widząc Luciena, czuję ukłucie wyrzutów sumienia. Nie przekazałem mu wieści o nowej wiolonczeli, nie poinformowałem go również o tym, co matka mówiła w samochodzie. W tej chwili jednak naprawdę nie mam głowy do surogatki.

Przegapiam moment, w którym dziewczyna zjawia się w sali, ale w pewnym momencie dostrzegam ją w tłumie. Stoi obok matki, która rozmawia z Panią Dolin i Wybranką. Lucien podaje władczyni kieliszek szampana. Nasze oczy na ułamek sekundy się spotykają.

Ściska mnie w piersi. Paskudne uczucie. Mam wrażenie, jakbym znalazł się w potrzasku, zupełnie bezbronny. Gdziekolwiek się nie obróczę, ktoś ma wobec mnie jakieś oczekiwania, czegoś ode mnie żąda. Dałbym wiele, by cofnąć czas, wrócić do poprzedniego życia, które kręciło się wokół imprez, na których naprawdę chciałem być, do czasów, gdy surogatki były tylko pionkami na szachownicy, cichymi cieniami dumnych arystokratek. Po wewnętrznej stronie uda spływa mi kropla potu. Swędzi, drapię się więc, nie dbając o to, że ktoś patrzy. Bo co jeszcze matka może mi zrobić?

– Cóż – rzucam do Coral, gdy ogonek ludzi z gratulacjami wreszcie się kończy. – To było... uroczne.

Mówię to z sarkazmem, ale dziewczyna radośnie się do mnie uśmiecha.

– Prawda? Nigdy wcześniej tak wielu ludzi nie zwracało na mnie uwagi. I wszyscy tak pięknie wyglądają, czyż nie? Wprost nie mogę uwierzyć, że to przyjęcie jest dla nas.

Tak zaskakuje mnie jej szczerzy entuzjazm, że przez chwilę nie mogę znaleźć słów. Czy ona naprawdę nie widzi, że dla gości jesteśmy tylko źródłem rozrywki? Ani jedna osoba nie przyszła tutaj dlatego, że troszczy się o nas albo nasze małżeństwo. Matka nie zaprosiła żadnego z moich przyjaciół. Robimy tu za cyrkowe zwierzęta. Za parę dni nasze miejsce zajmie ktoś inny.

Najsmutniejsze jest to, że kiedyś kochałem być w centrum uwagi.

– Taak – mamroczę, bo podejrzewam, że gdybym powiedział jej, co naprawdę myślę, Coral mogłaby się rozplakać. Orkiestra zaczyna grać i pary ruszają na parkiet. Carnelian tańczy z Towarzyszem, sztywna

jak kij w jego ramionach. Matka obdziela swoją uwagę kolejnych panów. Wygląda jak gospodyni doskonała. Uśmiecha się, żartuje, popija szampana i udaje, że jest z powodu tych zaręczyn przeszczęśliwa.

Te kłamstwa, ten fałsz. Obluda towarzyszyła mi od najmłodszych lat, ale dopiero dzisiaj mnie od niej mdli.

– Ash Lockwood jest bardzo pożądanym Towarzyszem – mówi nagle Coral, kiwając głową w stronę parkietu, na którym moja kuzynka depcze Towarzyszowi po stopach. – Carnelian jest prawdziwą szczęściarą, że twoja matka go dla niej kupiła.

– Mhm – mruczę.

– Mój Towarzysz też był cudowny – ciągnie z rozmarzeniem moja przyszła żona. – Nazywał się Rye. Był bardzo zabawny.

Nie wiem, co odpowiedzieć. Na szczęście, teraz, gdy nie znajdujemy się pod czujnym okiem naszych matek ani nie musimy zabawiać gości, okazuje się, że Coral, by prowadzić rozmowę, nie potrzebuje wcale zaangażowania interlokutora.

– Nie wiem, czy wiesz, ale kolekcjonuję miniaturowe serwisy do herbaty – oznajmia. – Mam ich już prawie dwieście. To największa kolekcja w Klejnocie. – Z dumą unosi brodę. – Niektóre z nich pochodzą jeszcze z czasów Diamanty Wielkiej.

Miniaturowe serwisy do herbaty? Nie mogłaby czytać książek albo haftować jak normalna dziewczyna? Bo to właśnie robią normalne dziewczyny, prawda?

Coral jest właśnie w połowie opisu jednego z zestawów, jasnoniebieskiego, malowanego w klucze ptaków, gdy od śmierci z nudy wybawia mnie pojawienie się przy nas moich rodziców. Matka prosi zebranych o ciszę.

– Dziękuję wszystkim za przybycie i świętowanie wraz ze mną tego podniosłego wydarzenia – mówi głośno. Mojej uwadze nie umyka, że pominęła osobę ojca. – Wznieśmy toast na cześć szczęśliwej pary, Garneta z Domu Jeziora i Coral z Domu Dolin.

Ludzie unoszą kieliszki i wyrażają aprobatę.

– A teraz – ciągnie matka – moja surogatka zagra dla was krótki koncert. Zapraszam wszystkich do sali koncertowej.

Widzę, jak do surogatki podchodzi William, a potem ruszam za matką, z Coral u boku. Goście idą za nami do głównych schodów prowadzących do sali koncertowej.

– Surogatka twojej matki tak pięknie grała na Balu Hierarchy – mówi Coral. – Nie wiedziałam, że dzisiaj też dla nas wystąpi.

– Ja też nie – odpowiadam.

Siadamy pośrodku pierwszego rzędu. Spostrzegam, że Wybranka upewnia się, że Hierarcha usiądzie po jej lewej, tak daleko od mojej matki, jak to tylko możliwe. Krzesło, stojak na nuty i wiolonczela są już na scenie. Tłum szepce. Kątem oka widzę, jak Carnelian mówi coś Towarzyszowi na ucho, a on krzywi się lekko.

Kiedy na scenę wchodzi surogatka, aula wybuchą brawami. Mam nadzieję, że dziewczyna zagra to samo, co na balu. Wtedy przynajmniej ten wieczór nie będzie totalnie do bani.

Surogatka wydaje się mniej zdenerwowana niż w królewskim pałacu, może dlatego, że już występowała i to przed większą publicznością. Siada, umieszcza wiolonczelę między nogami i patrzy po twarzach zebranych jak jedna z tych wielkich gwiazd, którym za granie płaci się ciężkie pieniądze. Zachowuje się, jakby była panią sceny. Przynajmniej przez chwilę.

Przyznam, że budzi to mój szacunek.

Surogatka przerzuca stronę nut, unosi smyczek i zaczyna grać. Ku mojej radości to ten sam utwór, który słyszałem na Balu Hierarchy. Pozwalam obmyć się kaskadzie dźwięków. Znów myślę o klatce, w której siedzę, o tym, jak będzie wyglądać moje życie i jak wyglądałoby, gdybym mógł robić to, czego pragnę, gdybym był w mocy decydować o samym sobie. Z kim bym się ożenił? Wspominam wszystkie dziewczyny, z którymi się całowałem, z którymi flirtowałem i żadna z nich nie wzbudza we mnie silnych uczuć. Czy człowiek nie powinien czuć czegośkolwiek? A może po prostu w dzieciństwie naczytałem się za dużo bajek? Między moimi rodzicami nie ma miłości. Między rodzicami moich przyjaciół też nie.

Nigdy wcześniej nie przyszło mi to głowy, że to bardzo smutne.

Kiedy utwór dobiega końca, klaszczę głośno razem z resztą publiczności. Kątem oka widzę uśmiech satysfakcji na twarzy mojej

matki. Ojciec wygląda na nieco znudzonego, Carnelian zaś nadyma się jak zwykle. Za to jej Towarzysz... Mężczyzna marszczy brwi i wygląda na zaniepokojonego. Nie wiedziałem nawet, że wolno im się tak zachowywać.

Surogatka wyciąga głowę ku nutom i mruga gwałtownie. Zaczyna grać kolejny utwór. Coś jest nie w porządku. Dziewczyna wydaje się pocić, a jej wargi zaciskają się w cienką linię. Nagle struny wydają fałszywy dźwięk, a smyczek upada na podłogę. Surogatka patrzy po sobie z przerażeniem.

Wiolonczela z hukiem wpada na sceniczne deski i wszyscy zebrani podskakują. Teraz widać, co się dzieje.

Przez suknię surogatki przesącza się krew i jest jej coraz więcej. Wściekła czerwień rozlewa się po spódnicach i kapie na podłogę. Ręce dziewczyny są w niej unurzane. Widzę, że surogatka próbuje coś powiedzieć, najpewniej wzywa pomocy. Podrywam się na nogi. Dziewczyna osuwa się na krzesło, nim jednak zdążę się ruszyć, zza kurtyny wybiega ktoś odziany w biel.

Lucien łapie surogatkę, nim ta zdąży upaść na ziemię.

– Wezwijcie lekarza! – krzyczy. Arystokratki zaczynają wrzeszczeć i w sali wybucha chaos.

– Co się dzieje? – pyta Coral.

Nie wiem. Nie mam pojęcia!

Matka wbiega na scenę, a tuż za nią pędzi Hierarcha. Przepycham się za nimi, nim tłum zdąży mnie połknąć. Słyszę jak surogatka jęczy, gdy Lucien ostrożnie kładzie ją na deskach podwyższenia. Krew plami scenę, a suknia dziewczyny jest teraz bardziej szkarłatna niż zielona. Matka wygląda na przerażoną.

– Doktor jest w Banku – mówi.

Nagle dociera do mnie, że surogatka może umrzeć. Wiem, że surogatki czasem giną, ale co innego wiedzieć, a co innego widzieć.

– Natychmiast kogoś przyślemy – oferuje Hierarcha.

– Nie ma czasu. Musimy powstrzymać krwawienie – protestuje Lucien. Fasada chłodnego spokoju, której utrzymywanie doprowadził do perfekcji, pęka i widzę pod nią panikę oraz lęk. Teraz wiem, że Lucien kocha tę dziewczynę. – Pani, gdzie jest gabinet? – pyta. Matka

patrzy na niego nierozumiejącym wzrokiem. Nigdy nie widziałem jej tak zagubionej. – Pani! Gabinet!

Matka wzdryga się.

– Tędy. – Pokazuje.

Lucien podnosi surogatkę tak ostrożnie, jakby była kruchą, szklaną figurką. Mija moją matkę, mnie, wreszcie tłum arystokratów, którzy wyglądają na po równo przerażonych obrotom wydarzeń i chętnych, by puścić w świat wieści o Krwawych Zaręczynach Garneta.

Po chwili matka wraz z Lucieniem i surogatką wychodzą z sali koncertowej. Ojciec wygląda, jakby nie wiedział, co robić.

– No cóż – mówi, klepiąc mnie w ramię. – Powinniśmy...

Kiwa głową w kierunku gości.

– Ja się tym zajmę – burczę, bo ojciec jest absolutnie beznadziejnym gospodarzem.

– Panie i panowie – wołam i sala po chwili się ucisza. – Dziękuję ogromnie za przybycie na moje zaręczynowe przyjęcie. Najmocniej przepraszam, że zmuszeni jesteśmy skrócić ten uroczy wieczór, ale, jak zapewne państwo zauważyli, surogatka mojej matki nie czuje się najlepiej. Nasza rodzina potrzebuje teraz odrobiny prywatności.

– Oczywiście – oznajmia głośno Wybranka, która wcale nie wygląda na rozczarowaną tym, co się właśnie wydarzyło i zwraca się do tłumu, jakby to był jej pałac i jej przyjęcie. – Zostawmy Diuszesę w spokoju i miejmy nadzieję, że jej surogatka przetrwa tę noc. Wiem, jak to jest stracić surogatkę i nie życzę tego nikomu z nas, arystokratów.

Te słowa są absurdalne i to bardzo. Po pierwsze, ta kobieta nie jest naprawdę arystokratką, a po drugie, Wybranka ma wszelkie powody, by życzyć konkurencyjnemu domowi, takiemu jak nasz, zgonu bezcennej surogatki. Na szczęście po jej wezwaniu goście zaczynają opuszczać salę i za to akurat jestem jej wysokości wdzięczny.

– Mam zostać? – pyta Coral, chwytając mnie za łokieć.

– Co? – Wzdrygam się. – Nie. – O rany, to zabrzmiało ostrzej, niż chciałem. – Powinnaś wrócić do domu razem z matką – dodaję już łagodniej. – Ja... Poinformuję cię jutro o stanie surogatki. – Uśmiecham się z nadzieją, że to miły uśmiech.

– Och. Oczywiście. – Coral patrzy na mnie ufnie. Po chwili jej matka

ją wyprowadza.

Powoli sala koncertowa pustoszeje. Nie wiem, czy przypadkiem nie powinienem stać przy drzwiach i żegnać wszystkich, ale nie mam na to siły. Poza tym, co za pożytek z koszarnej reputacji, jeśli nie mogę z niej skorzystać, kiedy tego potrzebuję?

Zostaję sam na scenie. Krew surogatki schnie powoli na polerowanym drewnie posadzki i wygląda, jakby otaczała wiolonczelę szkarłatnym jeziorem. Wydaje mi się to niewłaściwe. Surogatka kocha swój instrument. Ściągam kurtkę smokingu, podnoszę wiolonczelę i próbuję zetrzeć z niej krew. Robię to jednak zbyt niezdarnie i nie tyle oczyszczam instrument, co raczej rozmazuję na nim smugi czerwieni.

Nagle drzwi za sceną otwierają się z hukiem i podbiega do mnie Annabelle. Patrzy na krew na podłodze, na instrument, który trzymam, twarz ma przerażoną a oczy pełne łez. Trzęsącymi się dłońmi pisze na tabliczce:

Żyje?

– Tak – mówię. – Jest w pokoju medycznym. Lucien... Lucien chyba się nią zajmuje. To... To nie wyglądało dobrze.

Annabelle unosi dłoń do ust, a łzy spływają jej po policzkach. Podbiega bliżej i niemal wrywa mi wiolonczelę.

– Chciałem tylko... Chciałem ją wyczyścić – tłumaczę, ale Annabelle ma zajęte ręce i nie może mi odpowiedzieć. Patrzy na mnie, jakby chciała mnie przewiercić wzrokiem, a potem gwałtownie pokazuje własną pierś i wiem już, co chce mi przekazać. To jej zadanie. W jej gestach jest coś zaborczego i opiekuńczego zarazem, coś, co przypomina mi minę Luciena, gdy patrzył na wykrwawiającą się surogatkę. Ona też kocha tę dziewczynę.

Annabelle odwraca się na pięcie i wynosi instrument z sali koncertowej. Stoję sam w głuchej ciszy, póki nie zjawiają się Mary i inne pokojówki, by zmyć ze sceny krew.

Rozdział 8

Tej nocy nie śpię. Siedzę w moim pokoju i gapię się na trzymane w dłoniach arkana, licząc na to, że Lucien się odezwie.

Czy ta dziewczyna przeżyła? Co się właściwie stało? Wpadłem w kłopoty? Powinienem być to przewidzieć? Czy byłem zbyt zajęty cierpieniem z powodu zaręczyn, by zauważyć, że coś jest nie tak? Czy Lucien powie całemu światu o mojej wpadce z Cyan? Czy Annabelle mnie nienawidzi?

Pytania wirują w mojej głowie w niekończącym się kręgu myśli, lęków i wyrzutów sumienia.

Jakim cudem doszło tej sytuacji? Dlaczego nie śpię i martwię się życiem jakiejś surogatki. Nie wiem, czy potrafiłbym choćby opisać wygląd surogatek, które dotąd spotkałem. Brunetki, blondynki, rude... Są jak lalki, lalki o zamazanych twarzach, które nie mają żadnego znaczenia, bo kim w ogóle są? Nikim. A raczej niczym. Czyjąś własnością. Ale twarz Luciena... I mina Annabelle.

Nawet nie wiem, jak ona ma na imię. Czy one w ogóle mają imiona? Wydaje mi się, że na Aukcji dostają numery. Może się z nimi rodzą. I jak w ogóle się rodzą? Normalnie? Zanim nie usłyszałem, jak surogatka mojej matki płacze z bólu, nigdy nie widziałem w nich ludzi.

Czy jestem złym człowiekiem?

Przez szpary w zasłonach do pokoju wsącza się szare światło. Zaczyna się nowy dzień. Już mam się poddać i wpełznąć do łóżka, gdy srebrny kamerton zaczyna buczeć i unosi się w powietrze.

– Wszystko z nią w porządku? – pytam Luciena, nim on zdąży się odezwać.

Przez chwilę nie odpowiada i myślę, że może trochę go zaskoczyłem.

– Tak – mówi wreszcie. Brzmi, jakby był śmiertelnie zmęczony. – Przeżyje.

Wypuszczam wstrzymywane w płucach powietrze i mam wrażenie, jakbym przez ostatnie godziny wcale nie oddychał. Z ulgi aż kręci mi się w głowie.

– To dobrze – szepczę.

– Zaiste. – Znów wyczuwam zaskoczenie.

– Co? – irytuję się, zbyt wykończony i nieprzytomny, by silić się na uprzejmość. – Myślisz, że w ogóle mnie to nie obeszło? Myślisz, że nie jestem człowiekiem?

– Nie – odrzeka. – Myślę, że jesteś arystokratą.

Mam wrażenie, że Lucien mnie obraża, ale nie rozumiem, w czym rzecz.

– Co to znaczy?

– To znaczy, że widzisz świat inaczej niż znakomita większość mieszkańców tego miasta.

Marszczę brwi.

– To miasto kocha arystokrację.

Lucien śmieje się mimo zmęczenia.

– Och, Garnecie – mówi. – Nie wiesz nic o tym mieście. Znasz tylko Klejnot i Bank. Klejnot znosi cię, ponieważ masz tytuł, a Bank cię kocha, bo wywołujesz kolejne skandale.

Nigdy, przenigdy nikt nie mówił do mnie w ten sposób. Otwieram usta, żeby postawić Luciena do pionu i przypomnieć mu, z kim rozmawia, ale nagle uchodzi ze mnie całe powietrze. Bo Lucien ma rację.

Jestem nikiem. Bardzo ekstrawagancką, bardzo kosztowną stratą czasu.

– Więc dlaczego poprosiłeś mnie o pomoc? – pytam.

Lucien wzdycha.

– Nie prosiłem. Zaszantażowałem cię.

No tak. Pocieram oczy knykciami.

– Lucienie, dlaczego ta dziewczyna jest taka ważna? Dlaczego tak strasznie ci na niej zależy?

– Dlaczego uważasz, że jest ważna?

– Mam pominąć to, że kazałeś mi jej na każdym kroku pilnować?

– Och, a ty nie bardzo umiałeś wywiązać się z tego prostego zadania... Poza tym, to, że kogoś śledzę, wcale nie oznacza, że się o niego troszczę. Interesuję się większą ilością ludzi, niż mógłbyś przypuszczać. Dlaczego sądzisz, że z tą dziewczyną jest inaczej?

– Twoja mina dzisiaj – walę prosto z mostu. – Kiedy dziewczyna krwawiła i... i płakała. To oczywiste.

Kolejna pauza. Lucien milczy tak długo, że tracę cierpliwość.

– Mają jakieś imiona? – indaguję. – To znaczy surogatki? Skąd one w ogóle pochodzą?

– Z Bagna – mówi sucho Lucien. – Na pewno o tym wiesz. I tak, mają imiona.

– Wszystkie? – dopytuję bez namysłu i niemal natychmiast tego żałuję.

– Tak, wszystkie.

– Więc jak ona się nazywa?

Lucien prychnął.

– A dlaczego cię to interesuje, Garnecie z Domu Jeziora, spadkobierco Diuszesy, członku Domu Założycieli?

– Nie rzucaj mi w twarz moich tytułów. Ja nimi nie jestem.

– Doprawdy? Więc proszę, oświeć mnie. Powiedz mi, kim jesteś. Udowodnij mi, że jesteś godzien, żeby poznać jej imię.

– Godzien?! – Krew uderza mi do głowy i podrywam się z kanapy. – Próbujesz powiedzieć, że nie jestem godzien, żeby dowiedzieć się, jak się nazywa jakaś surogatka?

– Właśnie to mówię. Dzielisz ludzi na dwie grupy, na arystokratów i tych, którzy nimi nie są. Zastanawiałeś się choć raz, co ta druga grupa może na twój temat sądzić? Przyszło ci do głowy, że to też są ludzie, którzy mają uczucia, marzenia, nadzieje? I że na jednego arystokratę przypada dziesięć osób, które nie mają tytułu?

Nie wiem, co powiedzieć. Bo znowu ma rację.

– Jesteś świadom tego, co się dzieje z surogatkami, Garnecie? – Głos Luciena opada do przypominającego syk węża szeptu.

– One... One robią dzieci, prawda? I rodzą je.

– A potem?

Waham się.

– Hmm. Nie wiem?

– Potem umierają. Każda. Co. Do. Jednej. Poród je zabija.

Muszę powtórzyć sobie ostatnie słowa Luciena, żeby dotarł do mnie ich sens.

Więc wszystkie te dziewczyny, które widziałem na smyczach, które pojawiały się na balach, które siedziały w milczeniu przy stołach... One nie żyją.

– Ale... – jąkam się. – Ale to... To nie może być prawda. Dlaczego... Jak to się dzieje?

Lucien wybuchą gorzkim śmiechem.

– Powiedz, zwróciłeś kiedyś uwagę na jakąś surogatkę? To znaczy zanim kazałem ci jednej pilnować? Mógłbyś mi którąś opisać? Poza Violet, oczywiście.

– Violet? – pytam.

Cisza.

– Nazywa się Violet? – pytam ponownie, tym razem bardziej stanowczym tonem.

– Taa – odburkuje Lucien.

– Och...

Violet. To Violet gra na wiolonczeli. To Violet zajmuje się Annabelle. Wszystko wydaje się inne, kiedy bezimienna surogatka otrzymuje imię. Violet.

Jeśli Violet urodzi moją siostrę, umrze.

– Więc... Co planujesz? Chcesz znaleźć jakiś sposób, żeby urodziła dziecko i przeżyła?

– Nie.

– Więc? Och, daj spokój, Lucienie. Proszę. Zaufaj mi.

Czekanie na jego odpowiedź wydaje się trwać wieczność.

– A mogę? – pyta wreszcie Lucien. – Jak miałbyś mnie przekonać, że mówisz prawdę? Na co miałbyś przysiąc?

Zastanawiam się przez dłuższą chwilę. Lucienowi nie zależy na pieniądzech, klejnotach, ani niczym w tym stylu. Wydaje się jednak, że zależy mu na ludziach.

– Przysięgam na Annabelle – oznajmiam wreszcie. – Jeśli ściągnę na surogatkę jakieś kłopoty, to właśnie Annabelle zostanie ukarana. A ja nie chcę w żaden sposób jej skrzywdzić.

– Hm. – Czuję, że Lucien jest pod wrażeniem. – Dobrze, zgadzam się.

– Więc jaki jest plan?

– Planuję – Lucien dramatycznie zawiesza głos – wyciągnąć Violet z Klejnotu.

Rozdział 9

Jego plan to kompletne szaleństwo. Tego nie da się zrobić.

Lucien, rzecz jasna, nie podzielił się żadnymi szczegółami, ale nie ma mowy, żeby udało mu się wyciągnąć Violet z domu mojej matki. A jednak wciąż szukam jakichś opcji. Może dałoby się użyć korytarzy dla służby? Porwać dziewczynę na Zimowym Balu? Ukryć ją w skrzyni z dostawą?

Oczywiście nie mam pojęcia, gdzie Lucien zamierza zabrać surogatkę, ani co z nią później zrobić. Ten facet to chyba najbardziej wkurzająca persona, jaką w życiu spotkałem.

Przez kilka dni po poronieniu – bo Lucien wyjaśnił mi, skąd się wziął krwotok – Violet nie wychodzi z łóżka. Nie wiedziałem, że ciąża może wiązać się z tak wielkim ryzykiem. Kiedy dziewczyna zaczyna opuszczać swe komnaty, widuję ją tylko wtedy, gdy spaceruje po ogrodzie. Z jednego z okien na piętrze przyglądam się, jak snuje się między schludnie przyciętymi krzewami. Wydaje mi się, że szczególnie lubi okolice zachodniego muru, bo zazwyczaj tam właśnie się kieruje. Potem znika w bardziej zapuszczonej części ogrodu albo w labiryncie.

Niestety, z każdym dniem mam coraz mniej okazji, by jej pilnować. Przygotowania do ślubu ruszyły pełną parą, a matka uznała, że muszę we wszystkim brać udział, jakby sam ożenek nie był dla mnie wystarczającą karą. Muszę więc uczestniczyć w kosztownych prezentacjach porcelany (Coral pewnie zemdlałaby z zachwyty) oraz w degustacjach potraw (to akurat nie jest takie złe), a matka nalega, żebym pomógł jej z planem usadzenia gości, który mutuje, ilekroć tylko spuszczę go z oka.

Razem z Coral jesteśmy również zobowiązani do wzięcia udziału w nieprzeliczonej ilości herbatek, lunchów i kolacji, czasem we dwoje, czasem w towarzystwie naszych rodziolek. To miłe, że mogę poznać tę dziewczynę nieco lepiej, nim zostanie moją żoną, ale również straszne, bo okazuje się niezbyt interesującą osobą.

Jednego popołudnia mam spotkanie z krawcem, który zdejmie ze

mnie miarę na ślubny smoking. Rzecz jasna mam zamiar się spóźnić, snuję się więc bez sensu po bibliotece, byle tylko nie stawić się na czas. Kiedy przechodzę przez dział, w którym zebrano mnóstwo upiornie nudnych woluminów o dawnych Hierarchach i Wybrankach, słyszę dwie rozmawiające ze sobą kobiety. Jeden z głosów należy do Carnelian, drugiego zaś nie rozpoznaję. Czując przyływ zainteresowania, podchodzę bliżej.

– Niczego nie kombinuję – mówi ten drugi głos. To musi być Violet. Nigdy wcześniej jej nie słyszałem, ale ten głos do niej pasuje. – Po prostu... lubię książki.

Słyszę jak Carnelian pogardliwie prychnie.

– Jasne. Przekonamy się.

Nie pozwolę, by okazja porozmawiania z dziewczyną, którą śledzę od prawie dwóch miesięcy, przeszła mi koło nosa.

– Jakiś problem, miłe panie? – pytam. Obydwie wydają się zaskoczone, widząc mnie między półkami.

– Co za niespodzianka – cedzi przez zęby Carnelian. – A nie powinienesz być przypadkiem na spotkaniu z krawcem? Słyszałam coś o ślubnym smokingu.

Robię zdumioną minę.

– Naprawdę? Ojej, wyleciało mi z głowy. – Przyglądam się Violet od stóp do głów. Wydaje się zdenerwowana, ale każdy by był na jej miejscu. Spotkania sam na sam z Carnelian są taaakie urocze. – Kochana kuzynko, znowu dręczysz surogatkę? Lepiej, żeby matka się nie dowiedziała.

Czuję się dziwnie nazywając tę dziewczynę surogatką teraz, gdy znam jej imię.

– Nie boję się jej – oświadcza Carnelian, wysuwając podbródek.

– Ależ boisz się, boisz – mówię. – Hej, a gdzie jest ten Towarzysz, którego ci kupiła? Słyszałem, że nie odstępujesz go na krok.

Carnelian oblewa się rumieńcem i wygląda, jakby zaraz miała się rozpłakać. Posyła Violet nienawistne spojrzenie, jakby to z jej winy Towarzysz był gdzie indziej, po czym obraca się na pięcie i odmaszerowuje.

Jakimś cudem zostaję z Violet sam na sam. Jestem z siebie dość

dumny, choć wiem przecież, że stało się tak przypadkiem. Zastanawiam się, czy dziewczyna wie, co ma jej przynieść przyszłość. Czy jest świadoma tego, że umrze, dając matce to, czego ona tak bardzo chce. Ciekawi mnie, co sądzi o Lucienie i czy również dostaje od niego tylko strzępki informacji.

Niestety, nie mogę tak po prostu jej zapytać.

– Zawsze była nieco przewrażliwiona – rzucam, patrząc za Carnelian i wzruszając ramionami. – Och, przy okazji, jestem Garnet.

– Wiem – odpowiada dziewczyna. Parskam śmiechem.

– Pewnie, że tak. – Składam przed nią bardzo wyszukany ukłon. – Będziesz tak miła i pozwolisz mi się eskortować do swych komnat?

– Och... Nie trzeba.

Mam wrażenie, że mnie boi się nawet bardziej niż mojej kuzyneczki.

– Nalegam – mówię, biorąc ją za łokieć. Hmmm. Żadnej różnicy. Łokcie surogatek nie są niezwykłe. To okropne, że czuję się zaskoczony. Tak jakbym naprawdę uważał, że surogatki to potwory w ludzkiej skórze, dziwne maszyny albo lalki z patyków i kleju.

– Powiedz mi, proszę – rzucam, gdy wychodzimy z biblioteki – kogo nienawidzisz bardziej, mojej matki czy mojego ojca?

Jestem umiarkowanie pewny, że z ojcem nie miała raczej styczności, ale umieram z ciekawości, co sądzi o mojej rodzicielce.

– Przepraszam?! – pyta zszokowana.

– Ja wybrałbym raczej matkę – ciągnę konwersacyjnym tonem. Mijamy patrolującego korytarze Trzeciego, który na mój widok staje na baczność. Guziki jego kurtki błyszczą. – Mój ojciec jest równie fascynujący, co przydrożny płot, ale przynajmniej łatwo go zignorować. Matki zignorować się nie da.

Violet nie odpowiada, a ja paplam, co mi ślina na język przyniesie, licząc na to, że doczekam się wreszcie jakiejś reakcji, że uda mi się wyczuć, jaka naprawdę jest ta młoda kobieta, o którą tak bardzo troszczy się Lucien.

– Zrobiła się jeszcze gorsza, kiedy zamieszkała z nami Carnelian. Biedne dziecko. Najpierw zmarł jej ojciec, potem matka popełniła samobójstwo. Szokujące, a poza tym dla Domu Jeziora to prawdziwy

skandal.

– Matka Carnelian popełniła samobójstwo? – wydusza z siebie Violet.

Kiwam głową. Wspinamy się po jednych z tylnych schodów na piętro pałacu.

– Moja ciotka była zaiste dziwną kobietą. Dziwną i bardzo smutną. Nigdy dobrze jej nie poznałem, bo matka szczerze nią gardziła. Myślę, że Carnelian w równym stopniu jej nienawidzi i za nią tęskni. Pewnie dlatego jest taka urocza w obyciu.

Chyba od czasów śmierci ciotki Opal tyle o niej nie mówiłem.

– Dlaczego jej nienawidzi? – dopytuje Violet.

– Bo zostawiła ją samą – odpowiadam. Właściwie to zaczynam czuć się źle z powodu tego, jak traktuję kuzynkę.

– Dlaczego Diusza gardziła twoją ciotką?

Pyta serio? Moja ciotka trafiła na pierwsze strony gazet jeszcze na długo przed tym, jak zacisnęła sobie linę na szyi.

– Bo wyjechała – wyjaśniam. – Macie w Bagnie jakieś gazety, prawda? Ciotka Opal nie bardzo przystawała do Domu Jeziora, a kiedy wyparła się królewskiej krwi i uciekła z jakimś gazeciarem z Banku, zrobiło się jeszcze gorzej. – Uśmiecham się paskudnie, bo czasem trudno mi uwierzyć, że to mnie matka uważa za największą zakałę rodu. – Matka dość ciężko to przeszła. Stuknięta siostra, zerwane zaręczyny, i to z Hierarchą, a potem ja... Och, jesteśmy na miejscu.

Pukam do drzwi komnat surogatki. Otwiera nam Annabelle, wyraźnie zdumiona moim widokiem.

– Annabelle! – wykrzykuję i obejmuję ją ramieniem, żeby Violet zobaczyła, że się przyjaźnimy i że nie jestem taki straszny. Annabelle rumieni się i usiłuje dygnać, ale wybitnie jej w tym przeszkadzam. Gdyby nie obecność Violet, pewnie strzeliłaby mnie tabliczką za nieprzystojne zachowanie. – Oddaję ci twoją surogatkę całą i zdrową – oznajmiam, a Annabelle skłania głowę w podziękowaniu. – Było mi szalenie miło cię poznać – zwracam się do Violet. – Jestem pewien, że niedługo znów się zobaczymy. Aha, postaraj się omijać Carnelian, jeśli tylko będziesz mieć taką możliwość – dodaję, puszczając do niej

oko. – Myślę, że się na ciebie uwzięła.

Moje ostatnie słowa zdają mi się nagle aż nazbyt prawdziwe. Choć Violet i Carnelian nie przebywają blisko siebie zbyt często, mam dziwne wrażenie, że moja kuzynka darzy Violet serdeczną niechęcią. Szybko otrząsam się z tych rozważań i idę wreszcie do krawca, bo co takiego mogłaby właściwie zrobić Carnelian? Akurat nią nie ma co się przejmować.

Rozdział 10

Już prawie czas – oznajmia mi Lucien o poranku dnia Zimowego Balu.

Jestem zaskoczony. Nie tylko dlatego, że rzadko odzywa się do mnie o tej godzinie, ale również dlatego, że przywykłem już do jego kręcenia i owijania wszystkiego w bawełnę. Mówiący wprost Lucien to nowość.

– Opuści pałac jutro w nocy – ciągnie. – Mówię ci to dlatego, że nie jestem pewien, czy będę w stanie skontaktować się z tobą przed akcją. Jeśli coś się posypie albo z jakiegoś powodu nie będę w stanie przybyć na czas, będę potrzebował twojej pomocy. To będzie ostatnia przysługa.

– Przysługa – prychem. – Jasne.

– Rozumiem. Chcę, żebyś coś dla mnie zrobił i potem dam ci spokój. Musisz upewnić się, że Violet dotrze do kostnicy.

– Co takiego?! – wyduszam. – Mam ją zabrać do kostnicy? Dlaczego? Myślałem, że próbujemy ocalić jej życie.

Lucien znowu to robi – wzdycha ciężko, jakby rozmawiał z najgłupszą osobą pod słońcem.

– Nie jest ważne, dlaczego – oznajmia. – Chodzi o to, żeby się tam znalazła. Skrzydło dla służby. Wejście zawsze jest otwarte. Potem aleją najbardziej po prawej.

Mam wrażenie, że powinien zacząć robić notatki.

– Jak mam niby przesznułować surogatkę pod nosem mojej matki i na dodatek zatargać ją do kostnicy? Jak to sobie wyobrażasz?

– Nijak – ucina Lucien. – Spodziewam się, że całą robotę załatwią pracownicy kostnicy. Mówię ci o tym tylko na wszelki wypadek. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, to nigdzie nie będziesz musiał jej zabierać.

– Pracownicy kostnicy przyjeżdżają tylko po martwych – zauważam.

– No właśnie.

Otwieram usta, zamykam je, a potem znów otwieram.

– Nic nie łapię – wyznaję.

Lucien milczy. Domyślam się, że zastanawia się, co mi powiedzieć i

jak wiele zdradzić. Jakbym do tej pory nie udowodnił mu, że może mi zaufać.

– Stworzyłem serum, które sprawi, że Violet będzie sprawiała wrażenie martwej – mówi takim tonem, jakby na co dzień przygotowywał podobne specyfiki i nie znajdował w tym nic niezwykłego.

– Łał – wyduszam. – To znaczy... Naprawdę?

– Tak. Aczkolwiek, jeśli nie uda się jej go zażyć, albo jeśli to serum nie zadziała tak, jak zakładam, musisz jej pomóc dostać się do kostnicy. Chcę mieć twoje słowo, że to zrobisz.

– Już dałem ci moje słowo – przypominam. – I nie cofnąłem go, ani nie złamałem.

– Tak – zgadza się Lucien. – To prawda.

– Dobrze więc. Kostnica. W porządku. – Nie mam pojęcia, jak miałbym to zrobić, żywię jednak nadzieję, że plan Luciena się powiedzie i nie będę musiał improwizować.

– Ostatnia sprawa. – Kolejna pauza, tym razem jeszcze dłuższa. – Twoje arkana. Możesz się przez nie połączyć z arkanami Violet.

– Naprawdę? – dukam. – Jak?

– Połóż je na czymś metalowym i wypowiedz imię Violet. Żeby przerwać połączenie, musisz po prostu ścisnąć kamerton w dłoni. Ale pod żadnym pozorem nie dzwoń do niej, o ile naprawdę nie będziesz musiał tego zrobić, jasne? To ostateczność.

– Ostateczność – mówię powoli, wpatrując się w cud techniki wiszący przed moją twarzą. – Jasne. Jakim sposobem w ogóle jesteś w stanie robić takie rzeczy?

Po raz pierwszy słyszę w głosie Luciena szczerą radość.

– Miałem to szczęście urodzić się z większą nieco niż przeciętna inteligencją. A poza tym mam mnóstwo pieniędzy.

Parskam śmiechem. Czyli wszystkie cudeńka Luciena sponsoruje tak naprawdę Hierarcha. Niezły dowcip. Ciekawe, ile podobnych rzeczy dzieje się w tym Kręgu, a ja nie mam o nich pojęcia. I co jeszcze zmagistrował Lucien?

Niestety, nie mam okazji zapytać, bo mój rozmówca oznajmia nagle:

– Muszę iść.

Kamerton spada na podłogę. Podnoszę go i odkładam na stolik nocny, a potem ruszam do szafy wybrać ciuchy na dzisiejszy wieczór.

Bal Zimowy to najlepsze przyjęcie w całym roku.

Impreza odbywa się w szklanej sali balowej oświetlonej tysiącem świec, bo w Najdłuższą Noc nie używa się kul świetlnych. Z żyrandoli zwieszają się pęki ciemiernika, a goście ubierają się na biało.

Jednak najcudowniejsze jest to, że na tym balu są wszyscy moi znajomi i nie muszę udawać się na niego z Coral. Tak właściwie prawie jej tej nocy nie widzę i jakoś nie cierpię z tego powodu. Nie jesteśmy jeszcze małżeństwem, a od czasu, gdy widziałem Jaspera i Periego, minęły chyba wieki.

W którymś momencie orientuję się, że Violet gdzieś znikła, ale nie widzę również Luciena, zakładam więc, że daje jej na osobności serum. Cieszę się, że już pojutrze przestanę być jego pałacowym szpiegiem i nie będę musiał odbywać tych wszystkich późnonocnych rozmów. Może zresztą już jestem wolny? Lucien wspomniał przecież, że najpewniej nie będzie mógł się ze mną skontaktować, a szanse na to, że jego plan nie wypali i będę musiał zaciągnąć Violet do kostnicy, są raczej niewielkie. W końcu to plan Luciena. A Lucien planuje bardzo drobiazgowo. Jestem właściwie pewien, że serum zadziała dokładnie tak, jak trzeba, i za moment Violet zniknie z pałacu i mojego życia.

Kiedy pijemy z Perim kolejne porcje whisky i żartujemy z mojego, coraz rychlejszego, ożenku, moje życie wydaje się wracać do normy. Dzisiaj nawet myślenie o ślubie pobudza mnie do śmiechu.

Siedzimy długo w noc, a potem przenosimy się z imprezą do Jaspera i po raz pierwszy od bardzo, bardzo dawna, znowu czuję się sobą.

Rozdział 11

Budzę się dopiero po południu, kiedy Cora z rozmachem rozsuwa zasłony w mojej sypialni.

– Co ty tu robisz? – pytam, bo ostatnio Cora zajmowała się mną, gdy miałem jakieś siedem lat.

– Twoja matka ma lunch i chce, żebyś do niej dołączył. Dobrze wie, że tylko ja będę w stanie ściągnąć cię z łóżka na czas.

Zrzuca ze mnie kołdrę i niemal siłą prowadzi mnie do łazienki. Kiedy biorę prysznic, czeka pod drzwiami. Gorąca woda jest cudowna, ale głowa nadal mnie boli.

Cora jest lepsza niż kilku lokajów razem wziętych. Niecałą godzinę zajmuje jej doprowadzenie mnie do stanu używalności. Wyglądam nieskazitelnie. Na lunchu zjawiam się o półtorej minuty za wcześnie. Przy barku w jadalni stoi ojciec.

– O co chodzi tym razem? – pytam go, nalewając sobie sporą porcję whisky.

– A skąd mam wiedzieć? – mruczy ojciec, pociągając długi łyk alkoholu. Oczy ma zaczerwienione. – Zjawiam się, kiedy mnie wzywają.

To chyba najsmutniejsze, co kiedykolwiek od niego usłyszałem. Po chwili do komnaty wchodzi ciotka Lolite oraz wuj Beryl i ojciec, wyraźnie ożywiony, idzie się z nimi przywitać. Zastanawia mnie, czy przypadkiem nie nienawidzi bycia Diukiem Jeziora. Może lepiej by się czuł, gdyby został w trzeciorzędym Domu?

Matka wchodzi do jadalni na dwie sekundy przed Carnelian i Towarzyszem. Ignorując wszystkich innych, podchodzi do ciotki Lolite.

– Dobrze się bawiłaś na Balu Zimowym? – pytam Carnelian, gdy podchodzi do barku po drinka.

– Och, tak. Ash powiedział, że coraz lepiej tańczę. A poza tym syn Pani Światła nie był nawet zbyt okropny. Zdecydowanie lepszy od innych młodych mężczyzn, z którymi wcześniej musiałam się spotykać.

Kiedy jednak Carnelian unosi wzrok na Towarzysza, wiem, że tak

naprawdę pragnie jego. Kolejny dramat. Przecież matka nigdy nie zgodzi się, by jej siostrzenica poślubiła Towarzysza, a poza tym oni nie są stworzeni do małżeństwa. Sześć miesięcy w Klejnocie, a moja kuzynka nadal niczego nie rozumie.

Sam Towarzysz zachowuje milczenie, co jest dziwne, bo zazwyczaj to on dba o to, by konwersacja dotyczyła jakichś miłych błahostek. Może też za dużo wypił ostatniej nocy.

– Hrabia i Hrabina Róży – zapowiada stojący przy drzwiach lokaj. – Oraz ich surogatka.

– Ametrine – woła matka i wlecze ojca, żeby przywitał się z Hrabinią. Jej surogatka ma ciemną skórę i długie, czarne włosy, splecione w warkocze i upięte na czubku głowy. Jest bardzo szczupła, chudsza nawet niż Violet. I smutna. A może zła? Przyłapuję się na tym, że usiłuję rozszyfrować jej minę.

– Po co ten cały lunch? – pyta Carnelian.

– Nie mam pojęcia – odpowiadam. – Może wreszcie znalazła ci męża.

Carnelian wzdryga się i sztywnieje.

W tym momencie lokaj zapowiada Violet. Gdybym wcześniej tak wnikliwie jej nie obserwował, nie dostrzegłbym, że dzisiaj wygląda i zachowuje się inaczej niż zazwyczaj. Zęby ma zaciśnięte, a w oczach dziwny błysk, którego nie umiem zinterpretować. Kiedy dziewczyna mnie dostrzega, wznoszę w jej kierunku szklankę. Carnelian prychnie i splata ramiona na piersi.

Matka i ciotka Lolite podchodzą do Violet. Za nimi, wspierając się ciężko na lasce, idzie powoli Hrabina Róży.

Słyszę słowa matki.

– Doktor mówi, że z kolejną próbą nie będziemy musieli tak długo czekać.

Żołądek podjeżdża mi do gardła. Odwracam się. Ile razy matka próbowała zapłodnić Violet?

– Naprawdę nie wiem, po co zapraszać surogatki na przyjęcia – sarka Carnelian.

– Wydaje mi się, że ostatnia próba Diuszesy zakończyła się niepowodzeniem – mówi miękko Towarzysz. Najwidoczniej podsłuchał

to samo co ja. – Być może chodzi o to, żeby poprawić surogatce humor.

– Pewnie tak – bąka Carnelian.

– Przecież znasz matkę – rzucam, spoglądając na Violet, która wygląda na wyjątkowo nieszczęśliwą, otoczona plotkującymi arystokratkami. – Ona żyje dla wielkich balów. I uwielbia imponować innym.

Drzwi do jadalni znów się otwierają.

– Hrabina Kamienia – anonsuje nowoprzybyłą lokaj. – I jej surogatka.

Nie ma mowy, żeby moja matka zaprosiła Hrabinę Kamienia z czystej sympatii... Chyba, że zrobiła to po to, żeby pochwalić się brzemienną surogatką. Może była nazbyt pewna umiejętności doktora Blythe'a i teraz ta pewność się na niej zemściła.

Nawet Carnelian jest zdumiona.

– A ona co tu robi? – mruczy pod nosem.

Matka i Hrabina witają się, całując, jak nakazuje etykieta, powietrze obok uszu. Z uśmiechem wymieniają jakieś pozorowane uprzejmości, ale nie chce mi się tego oglądać. Jestem gotowy, by coś zjeść. Mój żołądek burczy głośno, a Carnelian zaczyna chichotać. Uśmiecham się do niej krzywo.

– Umieram z głodu – mówię.

– Tak to bywa, kiedy się wstaje o pierwszej po południu.

Kiedy służba kładzie dodatkowe nakrycie dla Hrabiny Kamienia i jej surogatki, możemy usiąść do stołu. Nareszcie. Violet musi być zdenerwowana. W końcu dziś w nocy ma umrzeć.

Dziewczyna wygląda na mocno zmartwioną. Służba serwuje pierwsze danie i przez dłuższą chwilę poświęcam się wyłącznie jedzeniu. Za każdym razem, gdy unoszę wzrok na Violet, ona wpatruje się w surogatkę Hrabiny Kamienia, która jest w widocznej ciąży. Mam wrażenie, że jej pani chce, żeby wszyscy byli tego świadomi, bo ubrała ją w bardzo obcisłą suknię. Dziewczyna jest nawet chudsza niż surogatka Hrabiny Róży. Właściwie, im częściej na nią spoglądam, tym kruchsza i drobniejsza mi się wydaje. Jej skóra, tak samo jak jej suknia, wydaje się zbyt ciasna, za mocno opięta na

delikatnych kościach. Ciemne oczy nieznajomej są puste, niemal ślepe, a jej ramiona przygarbione. Przez moment zastanawiam się, co właściwie czuję. To chyba współczucie.

– Jak się czujesz? – pyta Violet Hrabina Róży. Ale Violet nie odpowiada, wpatrzona w brzemienną dziewczynę. Może Lucien powiedział jej, co się dzieje z surogatkami. Może wie, że tę dziewczynę czeka śmierć.

Nagle Violet zauważa, że wszyscy na nią patrzą i rzuca pytające spojrzenie mojej matce.

– Hrabina pytała, jak się czujesz – mówi sztywno matka.

– Czuję się dobrze, dziękuję, pani – oznajmia Violet, nie patrząc na nikogo w szczególności. Słyszając jej głos, brzemienna surogatka unosi wzrok.

W jej martwych oczach pojawia się odrobina życia. Żadna z surogatek Hrabiny Kamienia nie przetrwała długo i zastanawiam się, ile jeszcze wytrwa ta dziewczyna.

Usiłuję cieszyć się jedzeniem, filetem w cieście, ulubionym daniem matki, ale ku swojemu zdumieniu, obserwuję surogatkę Domu Kamienia nawet bardziej uważnie, niż robi to Violet. Dziewczyna zdaje się to wracać do świadomości, to odpływać gdzieś daleko. Co takiego zrobiła jej Hrabina? Słyszałem plotki, ale to wydaje się... straszne. Jakim cudem możemy wszyscy spokojnie jeść lunch w towarzystwie kogoś, kto umiera?

Nagle dziewczyna łapczywie chwyta oddech i kurczowo chwyta brzeg obrusu. Spomiędzy jej palców wystrzelują pasma głębokiego granatu i zaczynają rozprzestrzeniać się po stole. Carnelian zanosi się wrzaskiem, a wuj Beryl cofa się gwałtownie i spada z krzesła.

– Wezwijcie lekarza – krzyczy Hrabina Róży. Wszyscy zdążyliśmy już poderwać się na nogi. Nagle spostrzegam, że dywan zaczyna zielenieć. Cofam się przed plamą koloru, jakby mogła mnie skrzywdzić, gdy mnie dotknie.

Widzę, jak Violet klęczy przy brzemiennej surogatce i myślę o tym, czy wie, jak powstrzymać to, co robi ta dziewczyna.

Nagle surogatka otwiera usta i wymiotuje fontanną krwi.

Hrabina Kamienia dopada Violet, łapie ją za kark i podnosi

gwałtownie.

– Zostaw ją – warczy. Wszyscy nieruchomieją.

– Ale ona... ona jest chora – jąka się Violet. Teraz krew płynie również z nosa dziewczyny i plami przód jej sukni. Z oczu surogatki znika ostatni błysk świadomości.

Hrabina Kamienia odpycha Violet, jakby ta była szmacianą lalką. Dziewczyna potyka się, a ja instynktownie ruszam w jej stronę, by ją złapać. Kątem oka widzę, że Towarzysz robi to samo.

– Ebony! – krzyczy matka. – Nie waż się dotykać mojej surogatki!

Dywan zupełnie już pozieleniał, ale wszystko poza nim i obrusem wydaje się nienaruszone. Buty wciąż mam czarne i błyszczące. Matka wpatruje się w Hrabinę z wyrazem czystej nienawiści na twarzy.

– Wyjdź. Stąd – rozkazuje.

Hrabina uśmiecha się paskudnie.

– Jak sobie życzysz, Pearl.

Chwyta zalaną krwią dziewczynę za ramię, brutalnie stawia ją na nogi i praktycznie wywleka z jadalni.

– No cóż – mówi powoli matka. – Myślę, że pora zakończyć ten uroczy posiłek.

Stół wygląda jak kompletne pobojuwisko. Walają się po nim potłuczone kieliszki i resztki potraw, a wszystko poplamione jest winem i krwią. Matka obraca się do ojca.

– Kochanie, a może zaprowadzisz tych dżentelmenów do palarni? Garnecie, zechcesz im towarzyszyć?

Chyba sobie kpi. Czy kiedykolwiek towarzyszyłem ojcu w jego jaskini? W życiu! Jest obrzydliwa.

– Dziękuję za propozycję, matko, ale wolałbym raczej wydlubać sobie oczy – odpowiadam.

Twarz matki twardnieje.

– To znajdź sobie coś konstruktywnego do roboty. Najlepiej coś, w czym nie będzie brała udziału pomoc kuchenna.

Tak, jakbym kiedykolwiek romansował ze służącymi. Ojciec całkiem sprawnie wyprowadza z jadalni wuja Beryla i Hrabiego Róży.

Kłaniam się.

– Jak sobie życzysz, matko.

– Wszystko w porządku? – pyta moja rodzicielka Violet, w jednej chwili zapominając o mnie.

– Tak, pani – odpowiada dziewczyna, choć gołym okiem widać, że nic nie jest w porządku. Coś w tej drugiej surogatce ją poruszyło. I śmiem przypuszczać, że nie chodziło tylko o rzekę krwi.

Matka przykazuje jej iść na spacer do ogrodu, po czym opuszcza jadalnię razem z resztą arystokratek i ich surogatkami. Na placu boju zostają tylko trzy osoby. Ja, Carnelian i jej Towarzysz.

Odchrząkuję.

– To ja się ulatniam znaleźć sobie jakąś pomoc kuchenną – oświadczam zgryźliwie. – Do zobaczenia na kolacji.

Muszę wrócić do pokoju i porozmawiać z Lucieniem. Najlepiej natychmiast.

O co chodziło z tymi kolorami? Czy ta brzemienna surogatka zmieniła barwę obrusu na granatową? Wiedziałem, że są w stanie zrobić i urodzić dziecko, ale nie sądziłem, że potrafią też coś takiego... Wszystkie to umieją, czy tylko niektóre? I jak wielu rzeczy jeszcze nie wiem?

Sięgam do kieszeni i spostrzegam, że nie mam przy sobie kamertonu. I że nie wziąłem go na wczorajszy bal. A może wziąłem? Czyżbym go zgubił?

Przeszukuję wszystkie szafki, szuflady i pudełka ze szpargałami. Nie ma.

– O nie – szepczę. – Nie, nie, nie...

Sprawdzam ubrania, które miałem na sobie na balu i znajduję coś w wewnętrznej kieszeni marynarki. Jest niewielkie, okrągłe i zawinięte w papier. To gładka, czarna kulka, która niczego mi nie przypomina. Na papierze znajduje się, skreślona pełnym zawijasów, eleganckim pismem wiadomość, najpewniej od Luciena.

Na Gwardzistów. Kiedy tego użyjesz, nikt cię nie zobaczy. Na wszelki wypadek.

Dokładnie oglądam marmurową kulkę, ale za nic w świecie nie jestem w stanie stwierdzić, jak działa. Nie mam również pojęcia kiedy znalazła się w mojej marynarce. Tak, czy siak, chowam ją do kieszeni i wracam do szukania arkan.

Po kolejnych dwóch godzinach bezowocnych poszukiwań opadam ciężko na kanapę. Jakim cudem mogłem zgubić kamerton? Och, pewnie, Lucien bywa męczący i autorytarny, ale jednak powierzył mi zadziwiające technologiczne cudeńko z wiarą, że ani go nie zepsuję, ani gdzieś nie posieję. Z całych sił usiłuję przypomnieć sobie, gdzie ostatnio widziałem kamerton. Informuję George'a, że kolację zjem u siebie i odsyłam go precz. Wydaje się przerażony stanem, do którego doprowadziłem moje komnaty, co nie jest dziwne, bo to on będzie musiał w nich posprzątać.

Gdy tylko George znika za drzwiami, doznaję objawienia. Wczoraj rano, przed balem, rozmawiałem z Lucieniem. Potem odłożyłem arkana na nocną szafkę. Przeszukuję ją więc znowu, ale kamertonu nigdzie nie ma.

Kiedy George wraca z moim posiłkiem, nie mam innego wyjścia, jak zapytać go o zgubę.

– Nie widziałeś może mojego kamertonu? Odłożyłem go wczoraj na nocną szafkę.

– Widziałem, proszę pana. Wyglądał, jakby przydało mu się polerowanie, przekazałem go więc do czyszczenia razem z innymi pana rzeczami.

– Gdzie on jest? – pytam, podrywając się z kanapy.

– Na dole, proszę pana. Razem z resztą sreber.

– Przynieś mi go. W tej chwili.

– Tak, proszę pana – odpowiada z ukłonem i wychodzi. Nie jestem w stanie wziąć się za jedzenie, póki nie odzyskam tego nieszczęsnego drobiazgu, na szczęście jednak nie muszę długo czekać. Kilka minut później George wraca i oddaje mi arkana.

– Dziękuję – mówię, czując głęboką ulgę. – Myślę, że na dzisiaj to już wszystko. Dziękuję, George.

– Czy życzy pan sobie, żebym przyszedł i...

– Na dzisiaj to już wszystko – powtarzam dobitnie acz uprzejmie. George kiwa głową i opuszcza mój pokój.

Przez długą chwilę gapię się na kamerton, pragnąc, żeby się odezwał. Może dzwonił akurat wtedy, kiedy był na dole? Ale przecież Lucien mówił, że może nie być w stanie się ze mną skontaktować.

Może to ja powinienem spróbować skontaktować się z nim?

Stukam kamertonem w metalową tacę z posiłkiem.

– Lucien – mówię.

Nic się nie dzieje. Próbuję jeszcze z kilkoma innymi przedmiotami, a potem się poddaję.

Czas mija, a ja nie mogę spać. Leżę na kanapie, ubrany i wsłuchuję się w ciszę pałacu, zastanawiając się, czy Violet wzięła już serum. Dokąd zabierze ją Lucien? I jak?

Pewnie nigdy się nie dowiem. Mój udział w jego intrydze dobiegł końca. Ciekawe, czy Lucien pozwoli mi zatrzymać arkana. Chyba trochę się do nich przywiązałem.

Nagle słyszę krzyk. Podrywam się i pędzę do drzwi. Ktoś znowu wrzeszczy, tym razem głośniejsze i bliżej. Cicho otwieram drzwi i ostrożnie wyglądam na korytarz.

– ASH! – Głos Violet jest pełen bólu i strachu. Raz po raz wykrzykuje to imię. Dostrzegam, że dwóch Gwardzistów wlecze dziewczynę do jej pokoju, a kilka chwil później do moich uszu dobiega cichutkie stuknięcie zamykanych drzwi.

Z sercem w gardle wracam do pokoju.

Violet wołała Asha. Towarzysz ma na imię Ash. Krzyczała jakby... jakby on umierał, albo...

O nie. Przypominam sobie, jak w trakcie tego koszmarne lunchu Towarzysz odruchowo chciał jej pomóc. Przypominam sobie, jak wcześniej Violet raz po raz na niego spoglądała. Przypominam sobie nienawistny wzrok Carnelian. Violet i Towarzysz. Byli... razem? Przez cały ten czas?

Przez moment po prostu jestem zdumiony, że mogłem to przegapić. Przecież miałem ją obserwować. A potem dociera do mnie coś jeszcze. Coś o wiele gorszego.

Jeśli cokolwiek pójdzie nie tak, zabierz Violet do kostnicy. Tak właśnie polecił mi Lucien.

Nie mam wątpliwości, że coś poszło cholernie nie tak.

Nie zastanawiając się ani chwili dłużej, łapię arkana i podbiegam do stolika, na którym stoi taca. Pukam kamertonem w metal i mówię drżącym głosem:

– Violet.

Przez chwilę nic się nie dzieje. A potem arkana, unosząc się, zawisają w powietrzu i wydają z siebie ciche buczenie.

– Lucien? – szepce Violet. – Lucien, to ty?

Przez moment milczę, zaskoczony tym, że to naprawdę zadziałało i niepewny, czy na pewno chcę się w to pakować. Zaciskam zęby. Przecież obiecałem. Dałem słowo. I po raz pierwszy w życiu mam okazję zrobić coś, co ma jakieś znaczenie.

– Nie martw się – mówię spiesznie. – Wyciągniemy cię stąd.

Potem zaciskam kamerton w dłoni, mając nadzieję, że w tej beznadziejnej sytuacji podjąłem właściwą decyzję.

*

Spis treści

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)